

małodo drze

ZIELONA GÓRA 27 XII 1987 — 10 I 1988 R.
ROK XXXI NR 26 [657] CENA 20 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY



ERA VIDEO

Alfred Siatecki

Na naszych oczach umiera kultura oparta na słowie pisanym. Już czterdziesty procent dorosłych Polaków nie czyta książek, połowa nie chodzi do kin, niewielu bywa w teatrach, muzeach, na koncertach symfonicznych. Ludziom wystarczy oglądanie telewizji. Jeśli nie się nie zmienia — spłajnują niektóre wydawnictwa książkowe i prasowe, księgarnie, galerie sztuki.

Okręgowemu Przedsiębiorstwu Rozwoju Wszelchnian Filmów w Zielonej Górze nie opłaca się wyświetlać filmów ani w kinach stałych, ani w ruchomych. Tych ostatnich, zwanych także objazdowymi, pozostało na terenie województwa zaledwie pięć — w Nowej Soli, Świebodzinie, Wolsztynie, Zielonej Górze i Zaganju. Księgowi z OPRF-u wyliczyli, że do każdego widza, który w 1987 roku przyszedł do kina objazdowego, przedsiębiorstwo musiało dopłacić 45,50 zł. Koszty związane z eksploatacją tych najprymitywniejszych kin rosną z dnia na dzień, a to między innymi dlatego, że w manieżu oka droższą część zamieniane do samochodów, opłaty za energię i wynajem sali, rosną płace obsługi. Przez nosne aparaty projekcyjne (ciężkie, wysłużone, przestarzałe) zużywają się szybciej niż te, zainstalowane w kinach stałych i wymagają częstszych napraw. W kinach objazdowych nie rozpowszechnia się filmów najnowszych, z dobrze zachowaną wizją i fonią, budzących szerokie zainteresowanie widzów. W kinach tej kategorii ciągle wyświetla się filmy o szerokiej taśmie 16 lub 35 mm w warunkach niewiele różniących się od tych, jakie były w pierwszych latach upowszechniania kultury. Ale OPRF wcale nie zamierza likwidować kin objazdowych, przeciwnie — chce je rozwijać i z tej formy rozpowszechniania filmów czerpać zyski. Podobno można to osiągnąć drogą już sprawdzoną w naszym ustroju — przekazaniem deficytowych kin objazdowych w agencję. Tylko, czy będą tacy, którzy potrafią zado wolić wszystkich i, co jest najważniejsze, w każdym interesie, zarobić na sobie?

OPRF-owi nie opłaca się również rozpowszechniać filmów w państwowych kinach stałych drugiej kategorii, gdyż do każdego biletu przedsiębiorstwo dopłaca aż 223 zł. W kinach tej kategorii, a jest ich bardzo dużo na środkowym Nadodrzu, widzi płaci za bilet 52 zł. Przedsiębiorstwo chętnie przekazałoby owe kino radom narodowym, domom kultury albo komuś innemu, kto jest bogatszy. Deficyt przynosiłby także kina pierwszej kategorii — do każdego biletu OPRF do

płaca 53 zł. Aż się wierzyc nie chce, że deficytowe są kina 0-ekranowe (dopłata przedsiębiorstwa do jednego biletu wynosi 5,81 zł).

Przedsiębiorstwo dystrybucji filmów, jak i pozostałe instytucje kultury, dotowane jest z Funduszu Rozwoju Kultury. Mimo to zielonogórskie OPRF robi wszystko, by jak najwięcej pieniędzy wyciągnąć z kieszeni widzów. Skoro nie można zarobić na codziennych projekcjach, OPRF organizuje seanse specjalne, czyli pokazy przedpremierowe, maratony filmowe, nie żałując pieniędzy na reklamę. To, co do niedawna było niedopuszczalne w państwowej sieci kin, stało się możliwe. W listopadzie na wybrane ekrany w miastach wojewódzkich wszedł film tylko dla dorosłych pt. „Betty”, reklamowany jako dzieło pełne seksu i erotyki. Za 200 zł (drugie miejsce po 150 zł) można było zobaczyć „scenę łóżkową”, rozebraną kobietę i nagie go mężczyźne. Niebawem, na ekrany także wybranych kin, ma wejść kolejny film erotyczny, znowu tylko dla dorosłych. Potem następny, następny. I w końcu stanie się to, co się stało w wielu krajach zachodnich — ludzie zobojętnieją na wszelką gołiznę. Ale to nastąpi za kilka lat, kiedy OPRF i cała polska kinematografia pokonaą kolejny etap reformy.

Era wideo zaczęła się w Zielonogórze w połowie lat siedemdziesiątych, kiedy trafiły do Polski pierwsze magnetowidy kasetowe. Prawdopodobnie pierwsze z nich znajdowały się w domu nadodrzańskim. W swoich domach od 12000 do 20000 magnetowidów, wyprodukowanych poza granicami Polski. Niewielka ilość tych urządzeń znajduje się w upowszechnionych placówkach kultury, szkołach i zakładach pracy, zresztą najczęściej odkupionych od prywatnych właścicieli za pośrednictwem komisów. Sprzęt wideo dostarczany jest także do kraju przez różne spółki i sprzedawany za złotówki. Firma „Agrotechnika”, której udziałowcem jest Związek Młodzieży Wiejskiej, profesjonalne magnetowidy sprzedaje za około 400 tysięcy zł, a kamery za ponad 1,5 mln zł. Tu obowiązują ceny umowne; od 250 tysięcy do 850 tysięcy złotych kosztuje magnetowid, w zależności od klasy, systemu i sposobu nabycia. „Pewex” i „Baltona” także sprowadzają do kraju urządzenia wideo. Kamera w „Pewexie” kosztuje nieco ponad 1500 dolarów, a magnetowid japoński — ponad 800 dolarów.

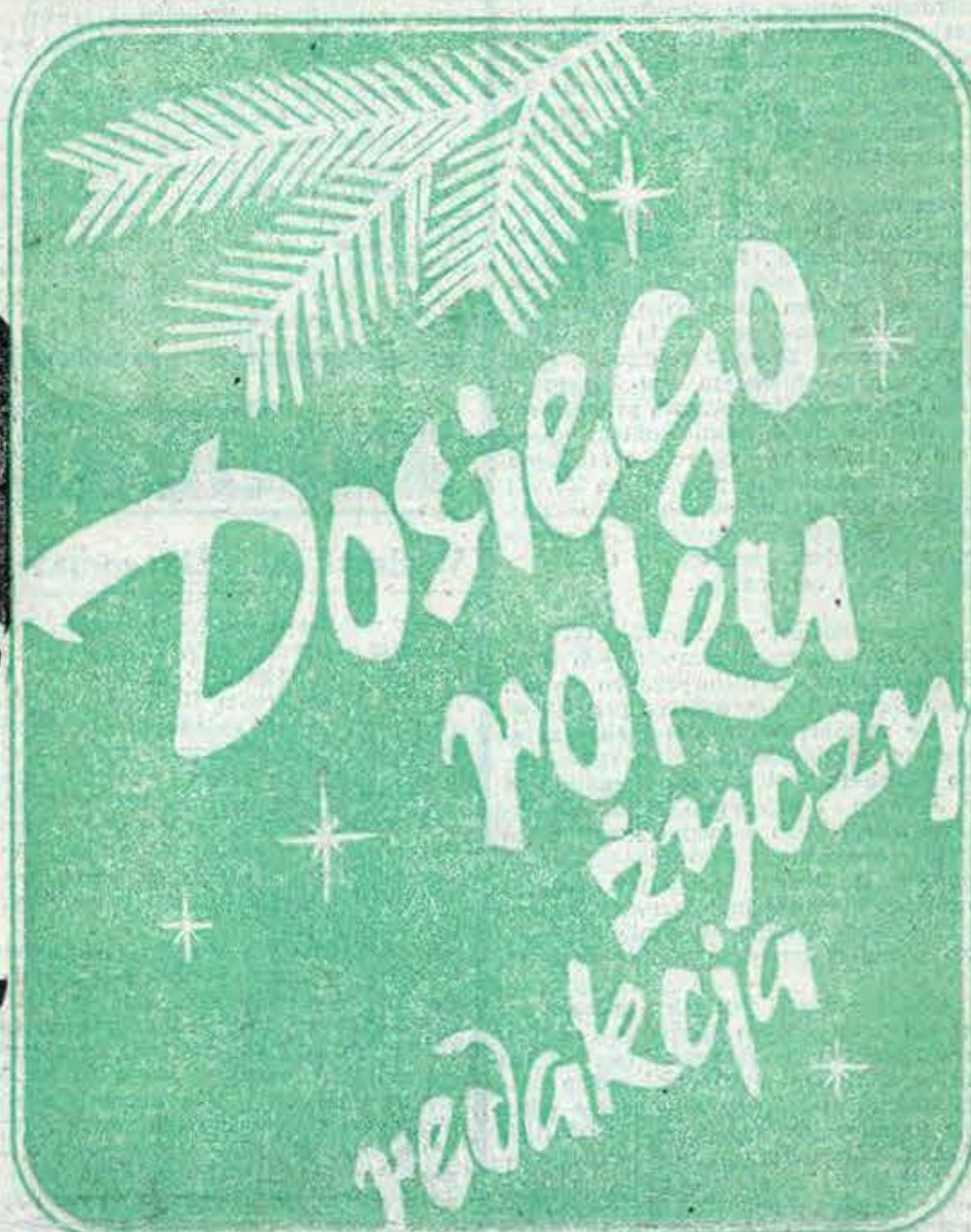
Bez rozwiniętej własnej produkcji sprzętu wideo lub zakupu tego sprzętu za granicą za dewizy, których jednak nie posiadają placówki i przedsiębiorstwa kultury, przyszłość upowszechniania kultury, w tym i rozpowszechniania filmów, skazana jest na improwizację. A program rozwoju techniki wideo zakłada, że do końca lat osiemdziesiątych niewiele się zmieni. Nie wiadomo, kiedy rozpocznie się seryjna produkcja polskich magnetowidów. Inżynierowie z warszawskich Zakładów Radiowych im. Kasprzaka opracowali prototyp magnetowidu w systemie VHS, jednak nie może on być produkowany, gdyż niektóre elementy muszą być sprowadzone za dewizy.

Założmy, że „Kasprzak” poradzi sobie z produkcją magnetowidów, że będą polskie kasety, o czym za chwilę, to brakuje jeszcze trzeciego urządzenia — telewizora przystosowanego do współpracy z magnetowidem. Zakłady w Gdańsku i Warszawie produkują doskonałe telewizory „Neptun”, „Helios”, „Videoton”, ale czy są one do kupienia w sklepach? Bez telewizora na nic cała koncepcja rozwoju techniki wideo.

Znajdujące się w Polsce kasety magnetowidowe są wyłącznie produkcją zagraniczną. W sklepach komisowych można je kupić za 6000 do 8000 złotych, w zależności od długości taśmy. „Pewex” sprzedaje kasety po 6-8 dolarów. Zupełnie niedawno Zakłady Włókien Sztucznych „Stilon” w Gorzowie wyprodukowały pierwszą partię kaset wideo w systemie VHS. Przekazane one zostały do testowania, między innymi w firmie BASF, która dostarczyła taśmę do montażu pierwszej partii. Jeśli kasety sprawdzą się, w przyszłym roku „Stilon” wyprodukuje ich 200 tysięcy, a w niedalekiej przyszłości po 2 miliony sztuk rocznie. W pierwszym etapie produkcji fabryka zamierza korzystać z taśmy importowanej, w 1989 roku przystąpi do produkcji własnej taśmy magnetowidowej. Kasety ze „Stilonu” będą dostarczane klientom w dwóch długościach — 2- i 3-godzinnej, i w trzech klasach: standard, wyższa i super. Założono, że 3-godzinna kaseeta klasy wyższej nie będzie droższa od kaset produkcji zachodniej, ma kosztować do 5 tysięcy złotych.

Do niedawna nie istniał w Polsce legalny system kopiowania kaset. Najczęściej stosowano metodę piracką — z magnetowidu na magnetowid. Za gotową, czyli z nagraniem filmem, kasetą rodzimi (zielonogórcy) piraci żądali po 20 tysięcy złotych. A ponieważ w tej sprawie do 1987 roku nie wydano żadnych przepisów, piractwo rozwinęło się znacznie. Uchwalona przez Sejm, Ustawa o Kine-

Ciąg dalszy na str. 9



Fot.: J. BROŻYNA

Opinie i refleksje

KOLEJNA SZANSA

Osiągnięte w trakcie waszyngtońskiego spotkania Michaila Gorbaczowa z Ronaldem Reaganem porozumienie w sprawie tzw. „podwójnej opcji zerowej”, czyli likwidacji rakiet średniego i bliskiego zasięgu z jądrowymi głowicami ZSRR i USA ma wymiary historyczne choćby dlatego, że jest to pierwszy w historii układ między państwami przewidujący całkowite zniszczenie określonego rodzaju groźnej broni. Jego doniosłość po leża także na tym, że stwarza szansę dalszych kroków rozbrojenia. To co jeszcze wcześniej było niemożliwe, dzisiaj stało się faktem, lub jest bardziej wyobrażalne.

Bez względu na to, jak ocenia się amerykański wkład w to porozumienie, można stwierdzić, że jest to olbrzymi sukces ZSRR i osobiste Michaila Gorbaczowa, w tym także pokojowej polityki prowadzonej przez całą wspólnotę socjalistyczną. Związek Radziecki, zgodnie z zaprezentowanym w styczniu 1986 r. przez M. Gorbaczowa programem pełnej likwidacji broni nuklearnej do 2000 r. a także w oparciu o założenia polityki zagranicznej przyjęte na XXVII Zjeździe KPZR, konsekwentnie poszukuje dróg i sposobów rozwiązania problemów rozbrojenia zarówno w skali globalnej jak i regionalnej.

Swoje podejście do kwestii układania stosunków międzynarodowych w nowych warunkach historycznych — państwa Układu Warszawskiego przedstawiały we wspólnych dokumentach przyjętych na berlińskim naradzie Doradców Komitetu Politycznego w maju 1987 r. Jednym z najważniejszych stwierdzeń ogłoszonego wówczas komunikatu było uroczyste zobowiązanie tych państw, iż nigdy i w żadnych okolicznościach nie będą jako pierwsze wszychno działać wojennymi, i nie będą jako pierwsze stosować broni jądrowej.

Godnym uwagi jest fakt, że we wszystkich praktycznych działaniach państw socjalistycznych szczególne miejsce zajmuje kontynent europejski, gdzie bezpośrednio stoją naprzeciw siebie potężne ugrupowania militarne NATO i Układu Warszawskiego. Wystarczy wyobrazić sobie, że na tym obszarze znajduje się m.in. ponad 150 reaktorów atomowych, ogromna ilość fabryk chemicznych, a także składów i magazynów materiałów i odpadów toksycznych. Wszystko to, w przypadku konfliktu, nawet nie jądrowego, tylko przy użyciu broni konwencjonalnej, doprowadziłoby do przekształcenia go w ogólnoeuropejską katastrofę. O ileż mniejsza to ryzyko waszyngtoński układ! Ale nie zażegnaje go do końca.

Nic też dziwnego, że w poszukiwaniu rozwiązań prowadzących do zmniejszenia możliwości konfrontacji zbrojnej w Europie angażują się wszystkie europejskie kraje socjalistyczne. M.in. dobrze znane są wspólne inicjatywy CSRS i NRD w sprawie utworzenia na terytorium tych państw i RFN strefy wojennej od broni chemicznej a także korytarza wolnego od broni jądrowej wzdłuż linii styku państw UW i NATO. Podobną propozycję dotyczącą Bałkanów zgłaszają Bułgarzy i Rumuni.

Na tym też wyraźnie prezentują się polskie koncepcje rozbrojenia i pokojowego współżycia narodów, zgłaszane w różnym czasie i w różnych miejscach. Wystarczy wspomnieć tzw. „Plan Rapackiego” z 1957 r. dotyczący utworzenia strefy bezaatomowej w Europie oraz zamrożenia zbrojeni jądrowych w Europie środkowej — na terytorium PRL, CSRS, NRD i RFN (tzw. „Plan Gomułka” 1963 r.). W ciągu wielu lat inicjatywy Polski były przedmiotem międzynarodowego dialogu i służyły poszukiwaniu zasad wspólnego bezpieczeństwa w Europie i na całym świecie. Nie z winy Polski nie zostały one we właściwym czasie wprowadzone w życie. Tym większego znaczenia nabiera właśnie teraz, po waszyngtońskim spotkaniu i po rozumieniu najnowsza polska propozycja znana już w świecie pod nazwą „Planu Jaruzelskiego”. Dotyczy on dzieł państw: Belgii, WRL, NRD, RFN, Danii, Luksemburga, Holandii, CSRS i PRL włączając w to ich wody terytorialne i przestępną powiatową. Przewiduje on stopniowe ograniczanie i eliminację na ich terytorium ustalonych rodzajów i ilości broni jądrowej i konwencjonalnej, zmianę charakteru doktryn wojennych, tak, aby mogły być one uważane tylko za obronne, umocnienie wzajemnego zaufania a także tworzenie warunków surowej kontroli przyzwoitych na siebie zobowiązań. Plan ten harmonijnie łączy się z propozycjami pozostałych państw socjalistycznych w dziedzinie rozbrojenia w Europie. Pierwszy, najtrudniejszy krok został już zrobiony, na tym polega jego wyjątkowa kolejna szansa.

ALEKSANDER WIENSKI

PRZYJACIELE RODZINY

W połowie lat pięćdziesiątych szacunkowa statystyka wykazywała, że w Polsce rocznie wykonywano około 500 tys. zabiegów przerwania ciąży, z czego zaledwie 100 tys. w szpitalach. Alarmujące były sygnały ciężkich okaleczeń i zgonów kobiet, które ze „swoim wstydem” udawały się do różnych babek, znachorów itp. Ustawa sejmowa z 1956 r. zezwalająca na przerwanie ciąży w placówkach służby zdrowia sama w sobie nie była dostateczną ochroną dla tysięcy dziewcząt i kobiet. Chodziło przecież o coś więcej niż tylko legalne usunięcie niechcianej ciąży, a mianowicie o szeroką akcję uświadamiania, popularyzującą wiedzę o planowaniu rodziny i ostrzegającą przed niebezpieczeństwami przerwania ciąży. Współżycie seksualne i zapobieganie ciąży były wtedy tematami tabu.

W takich właśnie okolicznościach powstała w 1957 r. Towarzystwo Świadomego Macierzyństwa. Powołano je z inicjatywy postępowych lekarzy, dziennikarzy, literatów i działaczy społecznych, a jego głównym celem było „informowanie, rodzinną o sposobach uniknięcia niepożądanego ciąży i dostarczenia rodzicom i nauczycielom pomocy koniecznych do rodzinnego wychowania młodzieży”.

Już w pierwszych latach pracy TSM okazało się, jak bardzo społeczeństwu potrzebna jest ta wiedza. Poprzez wydawnictwa i szkolenia pracowników służby zdrowia Towarzystwo podjęło pionierską, niełatwą, zmuszającą pracę seksualnego wychowania społeczeństwa. I wtedy, i wiele razy potem działacze Towarzystwa napotykali na przeszkodę rodzimej kultury. Ludzie walczący z ideami TSM uważali, że mówienie o normach moralnych życia seksualnego i rodzinnego, informowanie o sprawach rozrodu jest niemoralne i grzeszne. A rzeczywistość była taka, że większość młodych nie była przygotowana do założenia rodziny.

Kolejny etap pracy Towarzystwa — pierwsze szkoły dla narzeczonych i matek na początku lat 60-tych oraz utworzenie własnego przedsiębiorstwa „Securitas” produkującego mechaniczne i chemiczne środki antykoncepcyjne dla kobiet — przez oświecone kręgi społeczeństwa uznany został za postęp i nowatorstwo, przez pruderijnych moralistów za następną prowokację.

Wraz z poszerzeniem zakresu działań TSM przyjęło nazwę Towarzystwa Planowania Rodziny. W latach siedemdziesiątych po III zjeździe TPR rozpoczyna

wychowanie seksualne młodzieży. W atmosferze sensacji i wstydu odbywały się pogadanki w szkołach. W 1973 r. po usilnych staraniach do programów nauczania wprowadzono przedmiot „Przygotowanie do życia w rodzinie socjalistycznej” na zasadzie zajęć fakultatywnych w niektórych szkołach. W tym czasie działała w Polsce 12 poradni przedmażeńskich i rodzinnych. W drugiej połowie lat 70-tych działacze Towarzystwa uczestniczyli w tworzeniu nowej polityki społecznej na rzecz rodziny wchodząc jako eksperci w skład różnych komitetów i komisji.

W 1979 r. po raz trzeci zmienia się nazwa tej organizacji. Obecnie Towarzystwo Rozwoju Rodziny (od 1980 r. ma ono status stowarzyszenia wyższego użytku) posiada 40 oddziałów wojewódzkich, 300 kół, 150 tys. członków. Pod patronatem TRR działa 8 lekarskich przychodni specjalistycznych, 20 placówek poradnictwa przedmażeńskiego i rodzinnego, 4 poradnie młodzieżowe i szkoły rodzenia.

To sporo, jeśli porównamy punkt wyjścia, ale jednocześnie mało. Nadal wólk wychowania seksualnego robi się niedrogią sensacją, o czym świadczy zawieszenie podrecznika „Przypodobanie do życia w rodzinie” (piszemy o tym na str. 4 w artykule „Atmosfera skandalu”).

W działalność Towarzystwa na terenie kraju angażowały się takie autorytety jak prof. dr med. Marcin Kacprzak —

pierwszy przewodniczący, prof. dr med. Bolesław Górnicki — znany pediatra, obecnie honorowy przewodniczący, prof. dr Mikołaj Kozakiewicz — przewodniczący wybrany na ostatnim VI zjeździe TRR.

W zielonogórskim także od 30 lat działa w ramach Towarzystwa wielu pracowników służby zdrowia, nauczycieli, wychowawców, którzy prowadzą szkolenia, szkoły rodzenia, spotkania przyszłych małżonków z psychologiem i lekarzem. Do długoletnich działaczy TRR należą: dr med. Tadeusz Zgorzelewicz, Regina Zakiewicz, nieżyjący już dr med. Maria Szadkowska, dr Janusz Kosiński, mgr Krystyna Bursztynowska, mgr Romualda Dembińska, mgr Henryk Jarosz doc. dr Stanisława Łapkowska-Wacowska, mgr Elżbieta Wołoszyn-Smyka.

W 2 poradniach przedmażeńskich i rodzinnych (Zielona Góra i Żary) można znaleźć pomoc w rozwiązywaniu konfliktów rodzinnych, w zaburzeniach współżycia seksualnego, leczenia bezpłodności, a także uzyskać poufne porady w zakresie zapobiegania niepożądanego ciąży.

Z danych przytoczonych na VII Wojewódzkim Zjeździe TRR w Zielonej Górze wynika, że działania Towarzystwa są potrzebne i to w coraz szerszym zakresie.

Przewodniczącym nowego Zarządu Wojewódzkiego został dr Janusz Kosiński.

LG

Zaodra

Wydatki na cele społeczne

Jak wynika z analizy Instytutu Badania Gospodarczych DIW w Berlinie Zachodnim, po objęciu w NRD w 1971 r. władzy przez Ericha Honeckera nastąpił szybki wzrost świadczeń społecznych — bądź drogą poprawy dotychczasowych, bądź też drogą tworzenia nowych. W ocenie DIW, od końca lat 80-tych nastąpiło znaczne osłabienie tempa wzrostu świadczeń społecznych. Dostrzegaliśmy jest w ostatnich latach brak nowych koncepcji w kształtowaniu polityki społecznej.

W największym stopniu podniesiono w NRD świadczenia na rzecz matki i rodziny. Wydatki na te cele w latach 1970—1986 wzrosły siedmiokrotnie. Od 1981 r. np. dodatki rodzinne na pierwsze dziecko zwiększyły się z 20 do 50 marek miesięcznie. Na drugie dziecko otrzymuje się obecnie 100 marek. Matka, a ostatnio także ojciec, mogą skorzystać z możliwości płatnego urlopu wychowawczego w pierwszym roku życia dziecka.

Pomimo tych korzystnych zmian stosunkowo najwolniej rosły renty i emerytury. Na te cele wydaje się rocznie około jednej piątej łącznej 33 mld marek kwoty, przeznaczonej na ubezpieczenia społeczne.

Wydaje się, że analiza ta nie w pełni oddaje sytuację w NRD. Od 1980 r. nastąpił bowiem w NRD także szybki rozwój sieci sklepów i butików, w których ceny są bardzo wysokie. Ponadto ze względu na ukryty wzrost cen siła nabywcza marki NRD poważnie zmalała. Stąd też, mimo większych wydatków państwa na świadczenia na rzecz matki i rodziny, polityka ta nie w pełni przyniosła oczekiwane rezultaty. Nie udało się zahamować w pożądanym stopniu spadku liczby urodzeń.

(x)

IRCh-a na placach budowy

W prasie NRD coraz częściej pisze się o krytycznych wnioskach z kontroli do konywanych przez społeczną inspekcję robotniczo-chłopską (ABI). Jest to tużyszy odpowiednik naszej IRCh-y. Posiada podobne uprawnienia, a przedmiotem jej zainteresowania są wszystkie, bez wyjątku, dziedziny życia społeczno-gospodarczego. W jej terenowych ogniwach działa ponad 275 tys. społecznych kontrolerów, zajmujących się na co dzień m.in. kontrolą stanu zaopatrzenia rynku w artykuły podstawowe, wykorzystywaniu surowców wtórnych, jak również stosunkami na linii obywatel-urząd. Wnioski z tych kontroli mają dla kontrolowanych jednostek charakter obligatoryjny.

Dzielną, która znajduje się pod szczególnym nadzorem społecznych inspektorów z ABI, jest budownictwo mieszkaniowe. Wynika to ze szczególnie na piętych zadań, jakie realizują tużyszy budowlani. W latach 1986—1990 w całej Republice mają oni przekazać do użyciu ponad milion nowych lub zmierzniowanych mieszkań. Chodzi więc o wykorzystanie wszystkich dostępnych jeszcze rezerw oraz o przeciwdziałanie negatywnym zjawiskom, występującym na niektórych budowlach. Stąd też okresem szczególnej aktywizacji ogień ABI jest jesień. Właśnie pod koniec roku społeczni inspektorzy dokonują kompleksowej kontroli przygotowań budownictwa do sezonu zimowego.

Jak wynika z rozmowy przeprowadzonej przez dziennikarza BERLINER ZEITUNG z przewodniczącym branżowego komitetu budownictwa ABI w Berlinie, mimo widocznego postępu w porównaniu z rokiem poprzednim, na poszczególnych placach budowy sytuacja

jest nadal bardzo skomplikowana. Stan zabezpieczenia poszczególnych obiektów na zimę oraz przygotowanie frontu robót na ten okres są w wielu przypadkach niezadowalające. Na 24 budowy realizowane przez stołeczny kombinat budownictwa inżynierskiego, jedynie kierownictwo sześciu z nich potrafiło toważyć zadania poważnie. Kontrole wykazały ponadto niedostateczną ilość zmagazynowanych materiałów i surowców niezbędnych w miesiącach zimowych. Zanotowano liczne braki szkła oraz materiałów zabezpieczających przed zimnem i zamrażaniem, co w konsekwencji mogłoby doprowadzić do osłabienia tempa pracy. W tym samym kombinacie pracownicy, zwłaszcza ci zatrudnieni na drugiej i trzeciej zmianie, skarżyli się na niesmaczne i zimne porceliki.

Zaznaczyć należy, iż BERLINER ZEITUNG jest pierwszą gazetą, która po raz pierwszy od dłuższego czasu informuje również o negatywnych zjawiskach występujących w tutejszym budownictwie.

(x)

Manifestacja Ruchu Ochrony Środowiska

Jak pisał zachodniemiecki DER TAGESSPIEGEL, w Dreźnie odbyła się nielegalna manifestacja przeciw postępowaniu zanieczyszczeniu rzeki Łaby przez NRD. Jej organizatorami byli członkowie międzynarodowej organizacji ochrony środowiska „Greenpeace”. Demonstranci rozwiesili na moście Dymitrowa w Dreźnie 30-metrowy transparent z napisami: „Zanieczyszczenie nie ma granic”, „Woda źródłem życia” oraz „Dreżno — Hamburg — Morze Północne”, wręczając przechodniom ulotki o podobnej treści. Po 45 minutach tamtejsza policja zwinęła transparent, zostawiając w spokoju wszystkich pięciu uczestników manifestacji, członków „Greenpeace” którzy sami opuścili most do piero po rozdaniu wszystkich ulotek.

(x)

Zalaba

Czy można żyć bez dotacji?

Republika Federalna od lat stara się bez powodzenia zmniejszyć różnego rodzaju subwencje i dotacje, które nie są wyłącznie specjalnością ustroju socjalistycznego. RFN łoży olbrzymie sumy na utrzymanie całych gałęzi przemysłu, gospodarki, a także świadczy poważne kwoty, które pozwalają utrzymywać na odpowiednim poziomie stopę życiową obywateli. Z tym, że RFN nie jest, na ile innych krajów zachodnich, rekordzistką w zakresie dotacji. Przeciwnie, znajduje się niemal na szarym końcu, ponieważ w roku ubiegłym na różnego rodzaju pomoce finansowe przeznaczono kwotę równą 1,6 proc. dochodu narodowego brutto. Tymczasem w Norwegii odsetek dotacji wynosi 6,1 proc., w Szwecji 5,2 proc., Belgii 3,6 proc., we Włoszech 2,7 proc., Francji 2,1 proc. Anglii 1,8 proc. dochodu narodowego. Są to dane opracowane przez zachodniemiecki instytut badań gospodarczych w oparciu o informacje, dostarczone przez OECD.

Zachodniemieckie dotacje mają formę bądź to bezpośredniej pomocy finansowej, bądź to różnych ulg podatkowych. Od niepamiętnych lat zapowiada się w RFN drastyczne zmniejszenie dotacji i od niepamiętnych lat wielkość dotacji rosła z roku na rok. Według oficjalnych danych, subwencje jedynie sześciu państw, wzrosły od 1970 r. z 14,9 mld marek do 31,9 mld w 1985 r. Faktem jest, że nawet w warunkach gospodarki rynkowej i to działającej z taką precyzją — jak zachodniemiecka, władze nie są w stanie sterować skutecznym państwem bez dotacji. Kiloński instytut gospodarki obliczył, że jeśli weźmie się pod uwagę wszystkie formy dotacji, subwencji, ulg podatkowych dla przedsiębiorstw i obywateli,

to dojdzie się do astronomicznej kwoty 116 mld marek rocznie, ukrytej w ponad 1000 listach i pozycjach budżetowych.

Podobną kwotę, bo wynoszącą 119,6 mld, ujawnił powyższy tygodnik DIE ZEIT w numerze z 14 sierpnia 1987 r. — rozbijając dotacje na następujące pozycje: dotacje władz federalnych 58,1 mld, dotacje landów i gmin — 47,3 mld, Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej 7,8 mld, Europejskiego Funduszu Regionalnego 3,4 mld. Kto zaś otrzymuje te dotacje? Według cytowanego DIE ZEIT 16,8 mld przeznaczają się na dofinansowanie komunikacji (kolej ma ostatnio deficyt 3,3 mld marek). Rolnictwo dostaje 15,2 mld, budownictwo mieszkaniowe 14 mld, służba zdrowia 7,4 mld. Dotowane jest także górnicтво, przemysł stoczniowy, wypełnia się deficyt poczt, premiują się różnymi udogodnieniami oszczędzających w kasach oszczędnościowych (5,3 mld), itd. Można by do tego dodać subwencjonowanie przez miasta instytucji kulturalnych, oper, teatrów.

Cały budżet RFN wyniósł w roku 1986 — 261 mld marek. Jeżeli więc przyjąć wielkość różnych dotacji, według obliczeń kilonowego instytutu, potwierdzonych przez DIE ZEIT, to okazałoby się, że wynoszą one blisko połowę całego budżetu federalnego. Należy więc do mitów wyobrażenia, że tylko gospodarka socjalistyczna krepowana jest różnymi dotacjami.

(x)

Bursztynowa komnata w USA?

Bursztynowa Komnata prawie na pewno znajduje się w Stanach Zjednoczonych. Taką informację podał niedawno dziennik angielski i z tą wersją występuje również zachodniemiecki tygodnik STERN. Johann Georg Stein był blisko odkrycia całej prawdy — sugeruje pismo. Przez ponad ćwierćwiecze ten zachodniemiecki historyk tropił losy Bursztynowej Komnaty i śledząc dokumenty doszedł do wniosku, że jeżeli nie cała, to na pewno spora część tego zabytku powędrowała za ocean. Jeden z oddziałów amerykańskich zajął w połowie kwietnia 1945 r. miejscowość Grasseben koło Hanoweru. Tam właśnie — według Steina — w wyrobiskach kopalni soli ukryte były różne skarby wywiezione z Berlina i innych obszarów ówczesnej Rzeszy, między innymi skrzynie z fragmentami Bursztynowej Komnaty. Grasseben, jak ustalił Stein strzeżona była jak prawdziwa forteca przez kilka kordonów wojsk amerykańskich czuwających dzień i noc. W tym czasie specjalne służby bez przeszkód dobierały się do zwieczonych tam przez hitlerowców skarbów. Amerykanie się cieszyli, gdyż zgodnie z porozumieniem sojuszniczym wszystkie grabieże przez hitlerowców skarby miały być spisane i ocenione przez specjal

na komisję. Chodziło więc o wywiezienie wybranej części, w tym Bursztynowej Komnaty, nim trafiła do międzynarodowego spisu. Wydawało się, że sprawa zostanie wieczną tajemnicą, lecz o tym iż spece z Counter Intelligence Corps dobierali się do skrzyń w Grasseben świadczą tajne sprawozdania z końca maja 1945, jak również raporty Anglików, którzy w końcu lipca tego roku zastąpili Amerykanów w Grasseben. Zdaniem Steina, co najmniej jedna dziesiąta skarbów z Grasseben została tajemnie przewieziona do USA. Jest to imponująca liczba, gdyż wiadomo, że w kopalniach było prawie siedem tysięcy skrzyń kosztowności zabawianych przez hitlerowców w Europie. Na poparcie swej tezy STERN przytacza historię słynnego znaku „Niebieskiego Mauritiusa”. Również ten rarytas filatelistyczny zginął pod koniec wojny w Berlinie i odnalazł się po trzydziestu latach w USA.

Tema

Instytut Kultury RFN w krajach socjalistycznych

Instytut Kultury RFN istnieje już w Bukareszcie. Decyduję o otwarciu takie go instytutu podjęli ostatnio Węgry i Chińczycy. Na razie o wzajemności, czy o otwarciu odpowiednich placówek tak że w RFN mowy nie ma, chociaż formalnie zasadę wzajemności oczywiście przyjęto. RFN jest silniejsza finansowo, a ponadto jest pewna frekwencji w swych placówkach.

W dziennikach RFN pojawiły się ostatnio informacje o wznowieniu w Moskwie, po raz pierwszy od 11 lat, rozmów z RFN na temat ożywienia współpracy kulturalnej między obu państwami. Wspólna komisja zawiesiła bowiem w 1976 r. prace, nie mogąc się porozumieć w kwestii włączenia Berlina Zachodniego do tego programu. Umowa kulturalna między obu państwami istnieje już od 14 lat, jednakże realizacja konkretne go programu napotyka, z wyżej wymienionego powodu, na trudności, co jednak nie przeszkadzało pragmatycznym posunięciom z obu stron, bo kontakty kulturalne są ożywione.

Delegacja zachodniemiecka, wznawiając obecnie w Moskwie rozmowy, podjęła — jak wynika z relacji prasy RFN — próby postawienia na porządku dziennym także sprawy otwarcia instytutu kultury. FRANKFURTER ALLGEMEINE ZEITUNG pisze jednak, że „bez rezonansu pozostała podjęta przez szefa delegacji niemieckiej, Wittego, podczas rozmowy z wiceministrem Woronocowem, próba postawienia na porządku dziennym sprawy otwarcia instytutu”.

Najwidoczniej w Moskwie nie mają na razie na to ochoty. Korespondent gazety dodaje, że są prowadzone rokowania budzące nadzieje na sukces także z Sofią i Warszawą.

(x)





Fot.: CZESŁAW LUNIEWICZ

Na obrzeżu Czerwienka usadowiła się wcale liczna kolonia domów jednorodzinnych, parterowych i piętrowych. Łącznie około stu rodzin w ostatnich latach wybudowało sobie własne mieszkania. Domy są proste i funkcjonalne, o płaskich dachach, niektóre z garażami i tarasami. Ogródkami sąsiadują, niektóre jeszcze nie do końca pobudowane, tworzą ładny kompleks urbanistyczny. I choć gdzieś tam stoją jeszcze niewielkie betonarki, leżą materiały budowlane, to wszystko jest tu uporządkowane, schludne. A ogródkami poszczególnych

drobnej budowy i nieprzeciętnej urody, jest spontaniczna i szybka jak iskra. Wybuchowa i stanowcza. Partnerska wobec dzieci, które własnym przykładem uczą samodzielności i uczciwości. Pracy i wierności jej organizacji. Pomimo licznych zajęć zawodowych i społecznych, potrafi wygospodarować czas na relaks, rodzinny wypoczynek. On — niewysokiego wzrostu, kępy, spokojny i zrównoważony, jakby nieco flegmatyczny. Pracowity jak ona, wracający późnymi wieczorami do domu swym maluchem, w którym tylnie siedzenie jest wypełnione

— Taki sweterok kosztuje w butiku około 7 tys. zł, a ja sama mogę go wykonać.

Urodzona w Katowicach, gdy miała pięć lat przyjechała z rodzicami do Czerwienki. Matka nie pracowała zawodowo, wychowując dzieci, ojciec zaś pracował w Państwowych Zakładach Żywności, później był sekretarzem komitetu partii, obecnie jest szefem zakładu CPN w Czerwienku. Mieszkają w starej kamienicy w rynku.

Gdy chodziła do miejscowego przedszkola, poznała Jacka, który był w tej samej grupie. Może to już wówczas zrodziła się miłość? — żartuje pani Jadwiga. Ale faktem jest, że już wtedy zaprzyjaźnili się. Później ukończyła szkołę podstawową, Liceum Pedagogiczne w Zielonej Górze, dwa lata pracowała w szkole specjalnej w Gubinie, niestety, nie mogła podjąć tej ciężkiej pracy. Wróciła do Czerwienki. Od 1970 roku zaczęła pracować w Gminnej Spółdzielni, początkowo jako behapowiec, później kierownik działu kadr a dziś w ośrodku „Nowoczesna Gospodyni”. Nie zrezygnowała ze swych pasji pedagogicznych, utrzymuje stały kontakt ze szkołą, dzieci są stałymi uczestnikami zajęć organizowanych przez Ośrodek. Jako drugi sekretarz POP ma wsparcie całej załogi, życzliwą pomoc zarządu.

Losy pana Jacka nie były również prostołiniowe. Urodzony w Czerwienku, ukończył szkołę i dostał się do zasadniczej szkoły zawodowej PKP w Zielonej Górze. Może była to częściowo sugestia ojca, który był kolejjarzem. Ale w każdym bądź razie pan Jacek nie żałuje tego czasu — W zawodowce nauczyło mnie nie tylko zawodu, lecz również uświadomiono, jak ważne jest poczucie obowiązku. Nauczono mnie szacunku do pracy. Starszy robotnicy stale nam mówili: nia ma rzeczy niemożliwych, wszystko zależy od ludzkiej pracy.

Więc też dziś trudno się dziwić, że pan Jacek, który później ukończył Technikum Mechaniczne i pracował w różnych zawodach, ma jeszcze czas na działalność w PZPR w miejscowym samorządzie mieszkańców.

Tuż za łaskiem — wskazuje mi teren po drugiej stronie uliczki Leśnej — jest plac, który chcemy zagospodarować na plac zabaw dla dzieci. Młody i aktywny naczelnik miasta i gminy inż. Krzysztof Wieczorek dopomógł nam w tym przedsięwzięciu. Na innych też możemy liczyć.

Może jednak powróćmy jeszcze do tej waszej miłości przedszkolnej? — in daguje panią Jadwigę.

Podczas tych wszystkich następnych lat utrzymywaliśmy ze sobą stały kontakt. Tak jednak naprawdę, to zaczęliśmy z sobą chodzić jakieś sześć lat przed ślubem. Kiedy Jacek odbył służbę wojskową, wzięliśmy ślub. Ale przed wojskiem były przecież zaręczyny. Kto z nas pierwszy zaproponował, nie pamiętam. Było jednak tak, że rodzice Jacka przyszli do moich, aby poprosić o zgodę na zaręczyny. Otrzymałam zgodę. Wsiadliśmy na motocykl marki WSK i pojechaliśmy wpięć do Nowej Soli a potem do Zielonej Góry, gdyż Jacek chciał mi kupić zaręczynowy pierścionek. Nabył go w Zielonej Górze — był to piękny złoty pierścionek z szafirowym oczkiem.

Jesteście rodziną zapracowaną. Kiedy odpoczywacie?

Ja wiele czytam, mąż organizuje rowerowe wycieczki w lecie dla dzieci z naszej szkoły oraz ze szkoły zaprzyjaźnionej z nami, w NRD z chęcią uczestniczy w nazywanych przez nas „deptynami” obozach, zwiedzając wraz z młodzieżą polskie zabytkowe miejscowości i poznając uroki niemieckiej ziemi, leżące za Odrą. Jest też czas na wieczór na kawę lub piwo z sąsiadami, na luźną pogawędkę, na remikę. To nasze tempo życia jest tylko pozornie nerwowe. Nie goni nas panosząca, jak wielu innych. Przecież nawet największy dobrobyt i obfitość rzeczy nie zastąpią ludzkich uczuć, nie dadzą pełnej satysfakcji.

Obiad już się ugotował — zagłada do pokoju Magdalena.

Zechce pan z nami zjeść? — zwraca się do mnie pani Jadwiga. I w jej głosie wyczuwam nie tyle pytanie, ile skrywane pod maską łagodności kategoryczne zaproszenie do stołu...

BEZ POŁYSKU

Zenon Łukaszewicz

posesji nie rozdzielają ludzi, lecz tworzą wyraźnie oznaczone własne miejsca zamieszkania, o które się dba i moli z całym trudem i staraniem. I upiększa. Na uliczce Leśnej, przecinającej osiedle, idzie się od starego centrum, gdzie stoi ratusz, przechodzi obok miłyna gospodarczego, aby niepostrzeżenie nagle dojść do rzadkiego lasu. Po obu stronach uliczki, z chodnikami stoją rzędy domów. Czysta, spokojna, tylko dzieci kręcą się na rowerkach lub bawią się w podcieniach drzew.

Budynek oznaczony numerem 5 należy do rodziny Nowakowskich. Nie wyróżnia się czymś szczególnym. Już na pierwszy rzut oka widać, że jest tu sporo jeszcze do zrobienia. Właściciel nie jest bowiem milionerem, co to wygrał w totolotka, otrzymał spadek lub dorobił się na machlojkach. I mógł tak sobie, od razu wystawić okazały dom. Trzeba było wielu lat wyrzeczeń, dodatkowych prac i twardego reżimu oszczędzania, aby móc zrealizować własne za mierzenia.

Istotna jest pomoc sąsiadów — powiada Jacek Nowakowski na co dzień pracownik zielonogórskiego „Polar-servisu” — Z lokalizacją tego domu bardzo dobrze trafił, bowiem mamy życzliwych i skorych do pomocy sąsiadów: Biekańskich, Mikulewiczów, Boraszewskich, Kozaków, Tomaków...

A dzieci naszych sąsiadów zwracają się do nas „wujku, ciociu” — dodaje Jadwiga Nowakowska, kierowniczka ośrodka „Nowoczesna Gospodyni” w Czerwienku. — To przecież oznacza zaufanie, wspólną opiekę nad dziećmi, więzy prawie że rodzinne.

Gawędzimy w dużym pokoju, za okna mi jest taras jeszcze niewykończony, o kilkanaście metrów dalej — las. Pokój ma świeżo jeszcze boazerię, ale przy ścianie stoi zestaw regałowy, mocno już zużyty, chyba sprzed dwudziestu laty.

To był projekt typowy, według którego miały być trzy pokoje — mówi pan Jacek. — Zmodyfikowałem go nieco i dziś mamy cztery pokoje, kuchnię, łazienkę, toaletę, suszarnię, garaż, kotłownię. Łącznie ponad 100 m kw. powierzchni mieszkalnej. Jest bieżąca woda, niestety — nie mamy kanalizacji. Stąd szamba, które trzeba co rusz opróżniać.

Ala pani Jadwiga nie jest tym specjalnie zmartwiona. Nie bez satysfakcji pokazuje w kuchni urządzenie do zmywania naczyń, które — wstyd przyznać — widzę po raz pierwszy — Dbamy przede wszystkim o wygodę a nie o wyśoki połysek — powiada, przecierając okulary. O własną wygodę i wygodę dzieci. A tych dzieci jest czworo. Najstarsza, 16-letnia Magdalena, o usposobieniu refleksyjnym, uczy się w sulechojskiej szkole i mówi, że chciałaby zostać psychologiem. Ale po chwili dodaje: — Ja też pragnę mieć taki swój własny dom, noszę w sobie jego wizję, ale... muszę wyjść za mąż za bogatego chłopca, dodaje żartobliwie. 13-letni Grzegorz i 7-letnia Maja chodzą już do szkoły, natomiast 6-letni Kuba czyli Jakub załatwił w ławce szkolnej po raz pierwszy w tym roku.

Jadwiga i Jacek Nowakowscy stanowią połączenie ognia i wody. Ona —

różnymi częściami do napraw chłodziarek, zamrażarek.

Pani Jadwiga tak tę kwestię kwituje: — Mam różne natury i różnicowane zainteresowania, bo choć urodziłam się w tym samym miesiącu, w maju, to jednak mamy różne znaki zodiaku. Ale tyle samo lat: po 39 i dotychczas nikt z nas drugiemu nie pakuwał walizek. Wielkich dramatów nie było, choć drobne spory są zawsze, jak w każdej rodzinie. Każdorazowo znajdujemy jednak salomonowe wyjście, szanując oczywiście własne indywidualności. Mam osobne kręgi zainteresowań, lecz to nie zakłóca harmonii w rodzinie. Nawet dziś, w tych niełatwych latach. Zresztą, dla nas nigdy właściwie nie było lat łatwych...

Słucham tych oczywistych wyznań, i z niejaką zazdrością myślę o przedsiębiorczości i zaradności życiowej tych ludzi, ich zmaganiu w pokonywaniu oporu materii, w konsekwentnym dążeniu do zbudowania własnego gniazda rodzinnego. Sensem ich życia nie stało się wzbogacanie „dla połyku”. Lecz uświadomienie sobie, że aby żyć w miarę dostatnio, trzeba mieć jakieś podstawowe warunki dla takiej egzystencji. Filozoficzna i modna dziś dyktanda: być albo mieć, została tu zatarta. Jeśli już czujemy, że państwo Nowakowscy, to szlachetnie zwanym: i być, i mieć. Ale na pierwszym miejscu jest owo „być”...

Ręce pana Jacka to duże dłonie, przy wykładzie ciężkiej fizycznej pracy, pokryte skórą, w której porach osiadło wiele smarów, olejów, okruchów metalu. Te dłonie są ciężkie i spracowane.

Pobraliśmy się w 1970 roku — wspomina pan Jacek. — Zaraz po ślubie zamieszkaliśmy w pokoju, wynajmowanym na poddaszu przez pewną rodzinę. Po pół roku zmienił się ten pokój na inny. I tak było przez pięć lat. Zdaaliśmy sobie sprawę z tego, że na mieszkanie spółdzielcze szybko nie możemy liczyć. A wtedy powstała ta kolonia domków jednorodzinnych. Zdecydowaliśmy się, choć było to wyprawa z motyką na słońce. Wykupiliśmy działkę w 1973 roku i gdy przystąpiłem do budowy, dysponowałem 20 tys. zł. No, wówczas były inne ceny. Uzyskałem pożyczkę z Banku, do dziś zresztą jeszcze nie spłaconą. Zapożyczaliśmy się, żona wzięła pożyczkę w swoim zakładzie pracy, ja od ojca dostałem trochę pieniędzy na grzejniki. Murarzem zapłaciłem za postawienie murów, za część otynkowania i roboty blacharskie. Resztę robiłem sam. Urlopy, niedziele i święta spędzałem na tej budowie. Pomagali sąsiedzi, ale przecież nie stale. Każdy ma własne życie, własne obowiązki, to naturalne. Teraz, z dwóch pensji możemy trochę odłożyć do domu, wykończenie prac przy ogrodzeniu, piwnicy i tarasie. A wówczas żona wychowywała małe dzieci, ja dorabiałem, nierazko wyładowując w gony...

Pani Jadwiga często odchodzi od stołu, aby przypilnować obiadu, spojrzeć co robi Kuba. A przecież w międzyczasie pragnie zwrócić moją uwagę na ładne gobeliny, zdobione ściany a wykonane przez nią samą, pochwalając się, iż ma maszyny dziewiarskie i sama robi na nich sweterki dla dzieci.

Waldemar Mystkowski

St. B.

Wszystkie miasta włoskie dokładnie mi się płaczą. Przez tę makulaturę lektur nie wiem dokładnie gdzie co jest.

Chociaż podobno areybiskupstwo Mediolanu dało najwięcej papieży. Ale ja advocatus diaboli interesuję się pewnym gruzlikiem.

Jak on zakopany w stosach książek i własnych rękopisów w nieopalanym mieszkaniu walczy. Walczy.

Jest rok 1911. Florencja i prowokatorzy za oknem, zimno, chociaż tli się Polska daleko.

Ile może znieść człowiek, a w związku z tym i jego mózg, gdy gniją żebra i mostek, światło, sumienie, nadzieja.

Papier nasiąka wilgocią i żółknie, myśli rwą się na strzępy zdań. Wspomnienia po przyjacielach tłuką się w ciasnym pamiętniku czaszki.

Cmentarz Trespiano niedaleko. Antonio. To nie Wzgórze Czaszki. Państwo i naród złożą się na fundusze i składki.

Pożegnania

Te uroczystości, jak niezidentyfikowane daty nieprzyjemnie zaskakują nas w głębokim śnie nagle przerwany blaskiem światła, szeptem przecucia, gdy trzeba się zwleć z włóknem

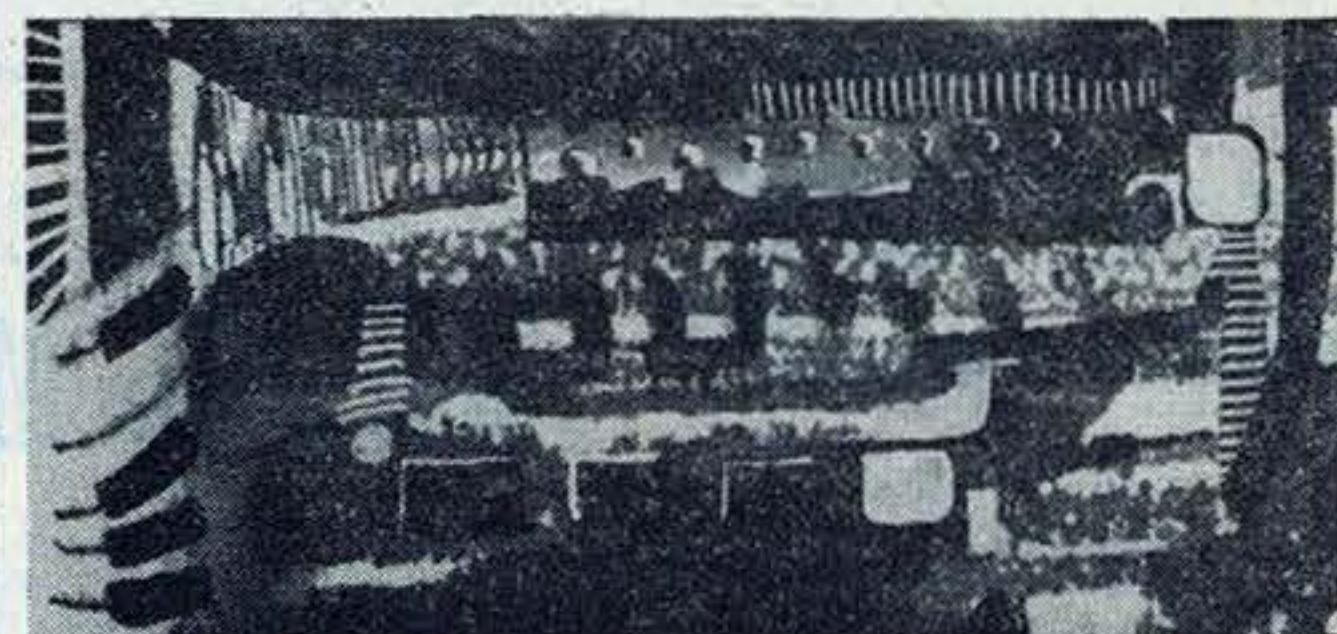
posłania, w którym ciało ułożyło się z bielą, ewentualnie zmoczenie z krochmalem. I rozpoznajesz, rozpoznajemy, że to nasz dom — a w ustach czujesz cierpką stempel gotowego

zdania, kto śmiał? — że te cztery strony spokoju, ściany sumienia są osłuchiwane przez wiatr, opukiwane przez deszcz. Kap, kap. Jeszcze raz okazujesz się być nie przygotowanym,

aby żegnać: chociaż ironia tak codziennie praktykowana może na krótką metę okazać się tarczą; zawsze pozostaje stanowczość sufitu. Identyfikujesz odpowiedzi z pytaniem, a nie

odwrotnie. Za co? Dlaczego? W imię jakich racji? Krew napotyka na opór mięśni, także odcisków. Więc jesteś. W tej jednoosobowej łajbie obecność rozpycha się lokciami. I jak manekin gestykuluje

w zatrzymanym kadrze patetycznych uniesień. Odpywasz, odpływamy. Rozchodzi się brzegi z młodością, z przyjaciółmi i z czymś co tak trudno nazwać, a jest uroczyste jak wiew chusteczki.



Kazimierz Furman

Światło mojego pisania

Mało jest domu w życiu moich wierszy
Stół
Biurowo
Maszyna do pisania
Zmieniam na niej rękopis na tłustą czcionkę
Kilka białych ścian brudnych
Zimny piec
Małe okna i widoki takie
Czasem tylko kobieta

W takim domu
Gdzie sufit spiska się z podłogą
W kącie, gdzie pajak uwil ciepły hamak
Wyznałem miejsce by dzień zmęczony ułożyć do snu
Obok kobiety, która właśnie przyszła

W takim domu rodzą się wiersze ciemne
Światło planety nie rozjaśnia ich ponurych doznań
Światło kobiety nie rozgarnia mroku
Blask gwiazdy nie ogrzewa

W takim domu rozmawiam ze słowem
Z moją pochodnią

Wiersze te zostały wyróżnione w konkursie zorganizowanym z okazji 30-lecia „Nadodrza”.

Rys. L.H.

O to mamy w Polsce atmosferę skandalu. Wywołała ją sprawa podręcznika dla szkół ponadpodstawowych pt. „Przysposobienie do życia w rodzinie” autorstwa Wiesława Sokoluka, Dagmary Andziak i Marii Trawińskiej.

Część opinii publicznej (ta najgłośniejsza) uważa, że skandalem jest sam fakt oddania w ręce młodzieży takiej (!) książki, amoralnej samej w sobie, bo omawiającej wyczerpująco życie erotyczne człowieka.

Na przeciwnym biegunie umieszczyli się opinie w całości i bez zastrzeżeń broniące podręcznika, argumentując swoje stanowisko ogromną, trwającą lata całe luką w przygotowaniu młodzieży do życia małżeńskiego i rodzinnego.

Gdzieś mniej więcej po środku znalazli się ci, którzy wypowiadają się najbardziej rzeczowo, spokojnie, tworząc. Są za podręcznikiem, lecz może niezupełnie w takim kształcie, w jakim się ukazał. Przestrzegają przed „zamordowaniem” książki, zanim zaczęła ona funkcjonować.

Według mnie skandalem jest nie książka i nie dyskusja, lecz fakt zawieszenia jej przez Ministerstwo Edukacji Narodowej. Wiadomo, że w Polsce podręczniki przygotowuje się latami, że są one zamawiane u autorów-fachowców. „Przysposobienie do życia w rodzinie” ukazało się nie w podziemiu, ale zostało wydane przez Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne. Na 2-giej stronie karty tytułowej czytamy: „Podręcznik zatwierdzony do użytku szkolnego przez Ministra Oświaty i Wychowania, opracowany na podstawie programu nauczania — przysposobienie do życia w rodzinie nr OP 23-4120-24/84 dn. 4 czerwca 1984 r.”

Czyżby centralna władza oświatowa nie orientowała się, jaki podręcznik wprowadza do szkół? Myślę, że orientowała się dokładnie, ale uległa rozhisteryzowanej części opinii publicznej, zawiesiła podręcznik, zapominając, że na całą rozróżniła młodzież, która buł wersję nie podręcznik, lecz właśnie sama rozróżnia.

W procesie wychowania nie można niczego zawieszać, tym bardziej, że do przedmiotu nazywanego w skrócie „pedeżet” nasz system oświatowy przystosował się od lat. Szykował się nie bez powodu. Taka była i jest paląca potrzeba. Mówią o tej potrzebie najbardziej zainteresowani — młodzież i nauczyciele, ale ich akurat nikt o zdanie na temat podręcznika nie pytał. Jeszcze raz okazało się, jak mały jest prestiż statusu pedagogicznego, nie tego tytułu, nego, ale tego szeregowego stałego codziennie oko w oko z młodzieżą.

Wcale nie jestem pewna, czy nauczyciele w większości opowiedzieli się za tym podręcznikiem. Ale trzeba było dać im to szansę.

Kilkanaście lat temu do programów nauczania wprowadzono nowy przedmiot „Przysposobienie do życia w rodzinie” — socjalistycznej. Przedmiot funkcjonował krótko na zasadzie zajęć fakultatywnych w niektórych szkołach. Oto jak wyglądały te zajęcia w opisie ówczesnej maturzystki, obecnie nauczycielki „pedeżetu”: Nasza wychowawczyni długo zapowiadała, że odbędzie się

spotkanie z lekarzem na tematy interesujące dojrzewającą młodzież. Czekałyśmy na tę rozmowę. Przyszła pielęgniarka. Przez 45 minut mówiła o higienie, mieszczone, o własnym ręczniku. My przecież już wcześniej sporo wiedzieliśmy, oczekiwaliśmy czegoś więcej np. informacji o antykoncepcji, ale po przemowie tej pani, każda z nas zabrała teczkę i wyszła. Nie było pytań. Dziś wiem, że właśnie wtedy, na tym samym etapie życia taki podręcznik był nam bardzo potrzebny. Jestem za poprawionym wydaniem. Skoro rodziców gorzej rysunki, to wydajmy książkę bez rysunków. Uczniowie mówią: weźcie sobie rysunki, pozwólcie nam mieć książkę.

Fakultatywne zajęcia z „Przysposobienia do życia w rodzinie socjalistycznej” padły, bo: nie było kadry, nie było podręcznika, nie było materiałów dla nauczycieli. Problem jednak wracał, wraca i będzie wracał, bo dzieci ciągle rodzą się, dojrzewają, żenią, dzieci rodzą

dzieci (w ub. roku statystyka zanotowała 50 tys. 15-16-letnich i młodszych matek), są tragedie, nieprzystosowania, rozwody.

Parę lat temu, po raz kolejny, oświata przystosowała się do przedmiotu już lepiej. Opracowano program, przygotowano materiały, zamówiono podręcznik, rozpoczęło kształcenie nauczycieli. W ub. roku przedmiot wprowadzono do I klas L.O., liceów zawodowych, techników i zasadniczych szkół zawodowych. W bieżącym roku szkolnym „pedeżet” mają klasy I i II, w przyszłym roku będą miały III, a w następnym IV.

Zajęcia prowadzi nauczyciele różnych przedmiotów np. języka polskiego, biologii, chemii, bądź absolwenci pedagogiki, psychologii, których interesuje ta problematyka i chcą być pomocni młodzieży w pokonywaniu zawieszonych ścieżek dojrzewania. W Zielonej Górze na przykład Oddział Doskonalenia Nauczycieli zorganizował roczny kurs, a w Wyższej Szkole Pedagogicznej trwa już trzecie z kolei roczne studium przysposobienia do życia w rodzinie. Uczęszczają na studium nauczyciele z zielonogórskiego, wrocławskiego i jeleniogórskiego. Bardzo pomocny w pracy jest zbiór konspektów i materiałów pt. „Z doświadczeń w realizacji przedmiotu przysposobienie do życia w rodzinie” pod redakcją naukową doc. dr Stanisławy Łapkowski-Wacowskiej. Bardzo pomocny i oczekiwany był? „pedeżet”. Podręcznik fizycznie jest, młodzież go kupiła, jeszcze w czerwcu tak jak i inne podręczniki. Praktycznie go nie ma, bo nie można z niego korzystać. Co dalej?

Zainteresowani nauczyciele (nie wszyscy są zainteresowani, bo w gronach pedagogicznych słyszy się także: po co to? Nas nikt nie uczył i jakoś żyjemy) boją się o dalszy los przedmiotu, boją się, że zostanie „utratroniony” razem z książką.

Tym bardziej, że przedmiot funkcjonuje w postaci cząstkowej. Na „pedeżet” przeznaczają się co drugą lekcję wychowawczą, czyli 19 godzin rocznie.

Mówią nauczyciele:

— Decyzję zawieszenia podjęto pochopnie. Przecież każdy podręcznik funkcjonuje razem z nauczycielem. Od nas i od młodzieży zależy o czym i w jakim kontekście rozmawiamy na zajęciach. Argumenty przeciwników podręcznika nie są wystarczające, nie przekonują mnie. Rodziców gorzej to, że w podręczniku mówi się o pierwszym stosunku seksualnym, że omawia się sposoby antykoncepcji. A przecież od lat wie my, że rodzice wycofali się, a właściwie wcale nie podjęli roli uświadamiania swoich dzieci. Oczekiwali tego od nas, chcieli, by ktoś ich wyręczył. Dziś podkładają nogę, wytrącają z ręki podręcznik, na który tak czekaliśmy.

— Ci, którzy krytykują i potępiają wcale nie znają młodzieży. Pytania uczniów świadczą, że o sprawach erotyki wiedzą oni znacznie więcej niż my wiedzieliśmy w młodości. Czytają różne książki, poradniki seksualnych w czasopiśmie, książki pani Wiślockiej i pana Starowicza. Dlaczego nie mogą mieć własnego podręcznika, który całokształt sprawy rozwoju, życia erotycznego i rodzinnego w życiu człowieka.

— Na pierwszych zajęciach przeprowadziłem anonimową ankietę, pytając, czego moi uczniowie chcieliby się dowiedzieć na spotkaniach „pedeżetu”. Chciał wiedzieć dokładnie to, co jest w „wykłej” książce. Nieprawda, że interesuje ich wyłącznie erotyka. Oczekiwania młodzieży są zbite z programu i z podręcznikiem.

— Pozytywne w całej burzy jest to, że i dorośli, i młodzież żywo zainteresowali się przedmiotem. W moim środowisku rodzice nie znali książki. Po kaźni w kościele przybiegła matka, po prosiła o podręcznik. Po przeczytaniu nie była zgorzonna. Powiedziała, że książka jest potrzebna. Ale jest sporo rozdziałów podpuszczonych przez dewotki zgorzzone opisanie techniki życia erotycznego. Nastawienie z góry na „nie”, nie potrafia obiektywnie czytać tego podręcznika w całości, a przecież mówi się tam bardzo dużo i często o potrzebie refleksji.

Tyle nauczyciele.

A młodzież?

Opinie młodzieży miałam okazję poznać na spotkaniu licealistów z Wiesławą Sokolukiem autorem najbardziej krytykowanej części podręcznika zatytułowanej „Życie erotyczne człowieka”. Pan Sokoluk nie przyjechał do Zielonej Góry, by szukać argumentów w obronie podręcznika. Uważa, że lepiej nie poruszać całej sprawy, bo jej już nie ma. A z młodzieżą rozmawiał bardzo pięknie, bez kokieterii i taryfy ulgowej, o sprawach seksu w okresie dojrzewania, o miłości, o relacjach dzieci-rodzice.

Silną rzeczą rozmowa o podręczniku także miała miejsce.

Dziewczyna I: — Jestem wierząca. Książka nie zdemoralizowała mnie, ani nie zaskoczyła. Speszyla się moja mama i nie umiała rozmawiać na ten temat. Mama uważa, że skoro jest to podręcznik, powinniśmy się uczyć jego treści. Ale po co to teraz, gdy mam 16 lat? Według mamy, gdy wyjdę za mąż, będę wiedziała, jak się uprawia seks, Na-

uczy mnie tego mąż. (Tu pała pytanie: a skąd mąż będzie wiedział, sam z siebie?)

Dziewczyna II: — Nie widzę sprzeczności między wiadomościami z książki i skromnością. Moja koleżanka twierdzi, że niektóre partie materiału zaczęła do życia erotycznego. Ja uważam, że dobrze jest wiedzieć, co się ze mną dzieje. To wcale nie znaczy, że natychmiast rzucić się w ramiona mężczyzny.

Chłopiec I: — Moi rodzice są staroświeccy. Przynoszą i podrzucają mi różne książki, broszurki, ojciec — „Świerzyżki”. Wiedzą, że się dokształcam, ale o tych sprawach w domu się nie mówi.

Chłopiec II: — Jeśli w domu mówią coś na ten temat, to tylko w kontekście: uważaj, żebyś nie zrobił dziecka.

Dziewczyna III: — Dorośli mówią, że książka nas podnieca, a niektórzy z nas podpuszczeni przez rodziców powtarzają to.

Atmosferę skandalu tworzą właśnie dorośli, a więc nie ci, do których podręcznik jest adresowany. Chciał za wszelką cenę, aby dzieci myślały i mówiły o tym sami, co myślały i mówiły. Świadczą o tym mini-sondaż przeprowadzony przez jedną z nauczycielek w klasach I-szych liceum w mieście średniej wielkości. Nauczycielka zaproponowała, by na kartce podzielonej pionową linią po jednej stronie na temat podręcznika wypowiedzieli się rodzice, po drugiej dzieci. Czesz młodzieży przyniosła tylko swoje opinie i były one „za”. Ci, którzy napisali obok wypowiedzi rodziców, mieli na kartce takie samo jak rodzice zdanie. Natomiast w ustnym komentarzu do karteczek oddawanej nauczycielce, mówili, co myślą naprawdę.

W sumie, w tych pierwszych klasach młodzieży jest generalnie „za” podręcznikiem. „Za” jest także 68 proc. rodziców. Dlaczego? Książka wyręcza ich od trudnych rozmów.

Ci, którzy chcą spalić podręcznik na stosie, przeliczyli się. Książka żyje, robi karierę, stała się bestsellerem. Nauczyciele historii i geografii zazdroszczą kołom od „pedeżetu”: gdyby tak ktoś chciał zawiesić nasze podręczniki, możemy wreszcie młodzież czytać je do końca.

„Wykłej” pan Sokoluk odniósł sukces. Po jednym z spotkań została grupa młodzieży. Powiedzieli: przyszliśmy, by pana frontalnie zaatakować i skrytykować totalnie. Mieliśmy zamiar rzucić panu w twarz ten podręcznik. Teraz czujemy się, że poznaliśmy pana, nie mamy siły ani argumentów do krytyki.

I poprosili o autografy.

LUCYNA GRABOWSKA

ATMOSFERA SKANDALU



Fot.: CZESŁAW LUNIEWICZ

List z Warszawy

Oczy czorne Marcello Mastroianiego

Sala kinowa DKF-u „Kwant” wypełniona po brzegi. Ekipy telewizji polskiej, przedstawiciele prasy, fotoreporterzy, zaproszeni goście, tłumy studentów. Nastrój oczekiwania. Organizatorzy przepraszają za opóźnienie projekcji; czekamy bowiem na honorowych gości — Nikitę Michalkowa i Marcello Mastroianiego, twórców znakomitego filmu „Oczy czarne”. Zaisze, wybuchła to mieszanina: z jednej strony nieokreślana i tajemnicza dusza rosyjska, z drugiej temperament, finezja i wdzięk włoski. Dodajmy, dusza wielkiego Rosjanina, jakim niewątpliwie jest reżyser Nikita Michalkow, i wielkiego Włocha, jakim jest Marcello Mastroiani.

Wreszcie są. Mastroiani przyjeżdża prosto z lotniska. Brawa. Zza kulis przemija na widownię Daniel Olbrychski, który tego dnia przyjechał specjalnie z Paryża, żeby się z nimi zobaczyć. Jeszcze raz brawa.

„Cieszę się, że mogłem przyjechać do Polski. Cieszę się tym bardziej, że jestem tu po raz pierwszy” — serdecznym uśmiechem wita się z publicznością Mastroiani.

Wśród aplauzu, donośny głos z sali (po włosku): — „Dlaczego Marcello? Dlaczego?” Publiczność i aktor śmieją się.

„Nigdy nie otrzymałem wizy wjazdowej do Polski” — żartobliwie wyjaśnia Mastroiani i dodaje: — „mam nadzieję, że otrzymam wizę wjazdową”. Potem opowiada zabawną historię o swoim związku z filmem polskim. Zdarzyło się to w Hollywood, gdzie zresztą nigdy nie pracował, tak jak nigdy nie grał w polskim filmie. Do Hollywood został zaproszony przez amerykańskie-

go reżysera Martina Scorsese („Taksówkarz”, „Nowy Jork, Nowy Jork”, „Po godzinach” — przyp. D.A.), „Sciany jego wili” — opowiada Mastroiani — pokryte są plakatami. Wszędzie wiszą plakaty filmowe, żadnych obrazów. Byłem zdziwiony. Nagle wśród tej niezliczonej ilości plakatów zauważyłem, że jeden jest bardzo dużym plakiem zupełnie białego papieru z dwoma czarnymi kółkami w środku. Zapytałem Martina, co to takiego? A on: to twój „Rozwój po włosku” w Polsce. Kiedy podszedłem bliżej, zrozumiałem, że to co wydawało mi się czarnymi kółkami, to były moje wąsy. W Hollywood zobaczyłem polski plakat do mojego włoskiego filmu.”

Nikita Michalkow po raz drugi gości w naszym kraju. Nie chce zbyt wiele mówić przed projekcją. Z uśmiechem oznajmia, że natura Polaków nie jest mu obca i sądzi, że będziemy sobie mieli wiele do powiedzenia po seansie.

Daniel Olbrychski, który wcześniej zasiadł w pierwszym rzędzie, usadawia tam również gości. Przyjmuje na siebie rolę gospodarza i tak już zostanie do końca wieczoru.

Gasną światła. Wreszcie długo oczekiwana chwila. Na ekranie „Oczy czarne” Nikity Michalkowa, z doborowym zestawem międzynarodowych gwiazd, z muzyką samego Francisca Lee. Gdyby przyszło mi w największym skrócie po wiedzieć państwu o czym traktuje film „Michalkowa”, powinienem posłużyć się trawestacją słów Antoniego Czechowa: „Rosjanie przywiązują ogromną wagę do przeszłości, którą uwielbiają; nie widzą teraźniejszości; boją się przyszłości”. Reżyser wyznał, że często ze zgrozą myśli, co stałoby się, gdyby przyszłość, której się tak boimy, okaza-

ła się podobna do teraźniejszości, której nienawidzimy i nie przypominają przeszłości, którą uwielbiamy. W rezultacie ciągle tkwimy (mowa o Rosjanach) w teraźniejszości, której tak nienawidzimy.

Zda się, że Czechow a obok niego Gogol, są pisarzami, którzy wywarli szczególny wpływ na światopogląd estetyczny — filozoficzny Michalkowa.

Bohater „Oczy czarnych”, Romano (Marcello Mastroiani), tęskni do przeszłości, nienawidzi — jak bohaterowie Czechowa — teraźniejszości, ale nie potrafi się z niej wyzwolić (też, jak bohaterowie Czechowa). A kiedy wreszcie decyduje się na zmianę swego losu, to szybko opuszcza go odwaga; wraca do Rzymu i do żony, której nie kocha.

Zapytany o własny stosunek do tej roli, Marcello Mastroiani odparł, że po stać Romano jest mu szalenie bliska, ponieważ zawsze miał słabość do grzeszników. Bohaterowie i święci przerażają go. „Bohater w filmie Nikity” — powiedział Mastroiani — jest infantylny, bywa kłamczuchem, nawet tchórzem. Czyż nie tacy właśnie jesteśmy?”

Jest w filmie taka scena, kiedy Mastroiani widziany uczuciem przybywa do Petersburga i tam stara się o zezwolenie na wyjazd do odległego miasteczka w nadziei spotkania ukochanej. Chodzi o urząd do urzędu, a czynow nicy carscy (rodem z gogolowskiego „Rewizora”) zastanawiają się poważnie, czy mogą taką zgodę wyrazić. Zachowuje się przy tym tak, jakby chodziło o decyzję o najmniej wagi państwowej. Publiczność odczytała perypetie filmowego bohatera jako aluzję do problemów, z jakimi borykał się reżyser, kiedy to nie chcieli zezwolić mu na wyjazd z Rosji w celu realizacji filmu. Michalkow przyznał, że istotnie miał trudności paszportowe. „Jakim prawem” — mówił — ludzie, którzy nie o mnie nie wiedzą, mają zadecydować, czy można wypuścić mnie z kraju?

Ostatecznie wypuścić można człowieka z więzienia. Nie z kraju. Co do mnie, nie zamierzam emigrować z ojczyzny. Uważam, że artysta wyrasta ze swoich korzeni. I tylko to naprawdę czuje, tylko tym może zainteresować. Musi być dnak galeziami obejmować cały świat.”

Michalkow i Mastroiani rozbawili słuchaczy opowieścią o zabawnym zdarzeniu, jakie miało miejsce w trakcie realizacji filmu. Otóż rola Romano wy magala od Mastroianiego poddania się ostrym rygorom planu filmowego, ponieważ w ogromnej większości partii ekranowych gra on człowiekiem stosunkowo młodym. Musiał więc być codziennie wyspany, wypoczęty, bez śladu nocnego zmęczenia. I nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyż taki rodzaj dyscypliny jest rzeczą naturalną w czasie realizacji każdego filmu i dotyczy całej ekipy. W największym jednak wymiarze obowiązuje reżysera, który jest — ni mniej, ni więcej — dyrektorem ogromnego przedsiębiorstwa i cała odpowiedzialność spoczywa na nim. Ale jak wyznał sam aktor, natura ludzka była grzeszna. I kiedy doszło do zdjęć na statku, gdzie Romano miał być czło wiekiem starszym, nieco zmęczonym życiem, i... nie stroniącym od kłószki. Nikita Michalkow powiedział: „Marcello, teraz możesz robić co ci się żywnie podoba, możesz jeść co chcesz i pić co chcesz”. Mastroiani przyjął te słowa z nieopisaną radością. Reżyser zdradził, że wszyscy potem bardzo żalowali, że zdjęcia te trwały tylko pięć dni.

Cały film powstał w ciągu siedmiu tygodni, a na okres przygotowywania producent przeznaczył zaledwie osiem tygodni. Wszyscy więc pracowali w ogromnym śpiechu.

Czy wiecie, że Marcello Mastroiani był niedługo urzędnikiem? A tak! Będąc młodym człowiekiem pracował jako urzędnik. Na swój prywatny użytek interesował się sztuką dramatyczną; występował w przedstawieniach uniwersyteckich. Któregoś dnia zauważył go impresario poważnego teatru. No i zaangażował Mastroianiego do dużego przedstawienia w profesjonalnym, leczącym się teatrze. Tam wypatrzył aktora Federico Fellini. „Otworzyły się przede mną złote wrata. Ponieważ zostałem wchowany w tradycję katolickiej, win rze, że czuwa nade mną Matka Boska, która pewnego dnia spostrzegła mnie i

pomyślała: można pomóc temu tam, w dole. Ot, taki kaprys Madonny” — powiedział Mastroiani.

Nikita Michalkowa pytano o zmiany zachodzące w jego kraju. „Bardzo często zdarza mi się słyszeć podobne pytania — mówi — pytania o przyszłość. I wtedy niezmiennie odpowiadam, że mnie to nie dotyczy, że nie muszę się przebudowywać. Robię — i zawsze robiłem — to, co chcę. Nigdy nie pracowałem z myślą, że robię film, który ma podobać się władzy. Nigdy nie realizowałem filmu dla władzy. Uważam, że kiedy artysta zaczyna podobnie myśleć, jest to jego klęska. Teraz w Rosji wszystko przebudowują, ludzie się przebudowują. Na wiele zjawisk patrzę z niepokojem. Jak to jest — myślę — że nagle tych, o których nie można było jeszcze niedawno nie złego powiedzieć, teraz napada się, krytykuje — na hurra. Przeraża mnie, że są to postawy totalne, masowe. Cztery lata temu, w gabinecie ministra, ostro przemówiłem się z Siergiejem Bondarczukiem, skrytykowałem go. Nie chcę powiedzieć, że miałem potem jakieś kłopoty, ale wówczas było to posunięcie ryzykowne. Na ostatnim Zjeździe Filmowców Radzieckich broniłem Bondarczuka. Nie dlatego, że jest moim kolegą, lecz dlatego, że wszyscy go atakowali. Kilka lat temu, nikt.

Jest godzina 23.00. Goście są zmęczeni. Na pytanie do Marcello Mastroianiego, co jest dla niego najważniejsze, aktor żartobliwie odpowiada: kolacja. Ale zaraz potem dodaje: „Życie, w całej złożoności. Kocham życie i wierzę, że będzie już trzysta lat”. Pytanie do Nikity Michalkowa o najbliższe plany za wodowe. Reżyser odpowiada, że przygotowuje się do filmu „Cyrylik syberyjski” z udziałem Meryl Streep.

Daniel Olbrychski przeprosza, ale Mastroiani rzeczywiście jest już zmęczony, prosto z lotniska przyjechał, żeby się z nami zobaczyć, nie dzisiaj jeszcze nie jadł.

Jakiś młody człowiek zbliża się do Michalkowa i ze wzruszeniem mówi, że po każdym filmie reżysera chciał do niego napisać. Nie znał adresu, ale po węgno dnia usiadł i napisał: „Nikita Michalkow, ja was lubię”.

DŻAMILA ANKIEWICZ

Mieszkańcy dzielnicy nazywają to miejsce piciowem. Rodzice wypychają dzieci z domu, mówią: — Idźcie pobawić się na podwórku! A więc dla najmłodszych gówniarzy, podwórko. A dla starszych, którzy już znają życie, piciowo.

Jest tam trzepak, jak na każdym porządnym podwórku. Są też dwa elementy, odróżniające pewne role w scenografii piciowa: betonowa cembrowina i drewniana buda. Służą teraz do spania lub leżenia, a stoją tu od czasów, gdy obok budowano akwarium.

Było to bardzo dawno. W akwarium od lat, na parkietach i wśród zbyt ków, o jakich mieszkańcom zwykłych bloków nawet się nie śni, mieszkają grube ryby. Podobno kąpią się we włoskich wannach, gary myją w srebrnych zlewozmywakach i siadają na sedesach z różowej porcelany. Wiedzą to ludzie od Kryski, która poszła tam raz z jednym, i widziała.

Z akwarium widać piciowo jak na dłoni. Toteż, gdy wieczorem robi się tam ciasno, zawsze ktoś z akwarium dzwoni po gliny. W jednym ze zwykłych bloków jest telefon w korytarzu, ale wiecznie zepsuty. I dobrze.

Kiedy Tomasz uganiał się za piłką, a piciowo było dla niego jeszcze podwórkiem, na drzwiach budy wisiała kłódka. Mimo to z wnętrza często dobiegały śmiechy i rozmowy.

Zobaczył kiedyś, jak starsze chłopaki odsuwają dwie deski od dołu i pod budą ukazują się wykopy, akurat wystarczające na wczoiwanie się do środka. Z chłopakami była Kryśka. Spojrzała na Tomasza i powiedziała: — Weźmy ze sobą tego gwizdka...

Tomasz przerywa opowiadanie i zaznacza, że wszystko dotychczas było wstępem. Dopiero w tym miejscu zaczyna się jego piciorys. Pierwsze doznanie seksualne (— No gwizdek, ściągaj spodnie, naczyrzmy cię posuwać...) Pierwsza flacha, pierwsze torsje.

Grupa chce wiedzieć zaraz, co sprawiło, że od tego dnia Tomasz zaczął nurać się w tym ohydnych wińsku? I dlaczego przez następnych kilkanaście lat nikt mu w tym skutecznie nie przeszkodził?

Tomasz nie umie odpowiedzieć. Proponuje, że będzie kontynuował piciorys i niech koledzy sami oceniają jego postępowanie, okoliczności i sytuację. Było tak.

Wracał ze szkoły, rzucał teczkę, przełykał trochę jakiejś kapusty z kartoflami pozostawionych przez matkę na patelni, i biegł na podwórko.

W domu było szaro i smutno. Ojciec przychodził po nocce, kładł się na łóżku

i chrapał. Matka wpadała z roboty wściekła, z pełnymi torbami, i, używając określenia ojca, warczała na nich, jak suka.

A na podwórku było wesoło nawet, gdy padał deszcz. Przyszli różni, z całej dzielnicy. Mówiło się o wszystkim i wiele można było się nauczyć. Rządząły inne prawa, niż w szkole. Nikt nie patrzył z politowaniem na spodnie Tomasza, bynajmniej nie z peweksu, jak spodnie większości w klasie. Nikt nie wytykał mu dziur w skarpetkach i kószul po starszym bracie. Nikt nie wymagał odmiany czasowników i chemicznych symboli na pamięć.

Marek, chłopak przeraźliwie chudy, którego skręcało po jednej musztardowej i któremu zresztą zmarło się dość wcześnie, brzdąkał na gitarze — Było romantycznie — mówi Tomasz, z namysłem dobierając słowa. Po chwili dodaje, że romantyzm rozmył się w... w miocinach. Bo na samym początku wszystkie szczyny rzygały, jak koty.

— Ale byłem ambitny — oświadcza Tomasz. I natychmiast, widząc poruszenie w grupie, wyjaśnia, że oczywiście było to ambicje małego pijaczka, który rzyga i pije na nowo, aby dorównać starym pijusom.

Idolem Tomasza i jego rówieśników był wówczas pan Wawrzyk, chłop stary, gruby, o czerwonej twarzy, prawdziwy mistrz i szpenio, umiejący za jednym zamachem wlać w siebie całość. Łykał, co by to nie było, bez ustanku, duszkiem, i nigdy nie miewał żadnych sensacji, poza czkawką.

Mimo to powiesił się na rynnie...

Grupa pyta, ile w tym czasie Tomasz pił. To znaczy ile butelek lub szklanek, dziennie lub tygodniowo? Tomasz odpowiada, że dwie lub trzy butelki wina, czasem butelka wódki, wystarczały dla pięciu w ciągu wieczora. On sam obojętnie wołał wino. Skąd brali pieniądze? Jakże tam — pieniądze. Przecież wino kosztowało 19 złotych. Zawsze w kieszeniach znalazło się parę złotychówek na ściepkę. No, i zostawały butelki.

Od butelek była babcia Baniowa. Siedziała przy cembrowinie, przysiadła się, jak chłopaki piją, kiedy mówili coś śmiesznego, śmiała się, miała rozrywkę. I pilnowała. Gdy w butelce dostrzegała dno, cap, łapała ją i chowała do worka.

Bania Leokadia — figurowała na drzwiach. W te drzwi Tomasz stukał wiele razy. — Ciągniesz z nas, babcia, interes, to dawaj teraz forszę, bo jesteśmy w potrzebie.

Babcia dawała, zapisując na ścianie, ile kto bierze. Tomasz oddawał, inni — różnie. Z czasem przechrztyła się i za miast pożyczać pieniądze, trzymała pod łóżkiem czystą strażacką i patykami pisaną. Po wyższych cenach, niż w sklepie, za forszę, butelki, albo na kredyt.

Grupa zauważa, że Tomasz rozmienia się na drobne, co każe przypuszczać, iż ucieka od problemu. — Tkwiś bracie w tym piciowie, a przecież dawno z niego wyrosłeś...

Tomasz zaprzecza. Nie ucieka od problemu, jak nie ucieknie od piciowa, które pozostanie w nim na zawsze. Będzie wspomnieniem, ale — będzie.

Chce grupie wyznać, coś, o czym nie wie nikt. Otóż on jest poetą. Niech się tylko nie śmieją, niech nie mówią: poeta, poeta, tylko głowa nie ta. Od paru lat pisze wiersze. Być może nie są one le wartości. Poeta, twierdzi, to ktoś nie całkiem normalny. Dlatego on, Tomasz,

Rozlegają się okłaski. Wiersz się po doba. Parę słów od autora. Jest wzruszony, trochę zawstydzony. Wiersze są dla niego czymś dobrym, czystym, łagodnym. Pisał je w pijanym widzie, sklejając ze słów bylejakich, pierwszych lepszych, jakie się nawinęły. Teraz przeżywa je na nowo. Wyciąga z szuflady, wygląda...

Wiersze — wierszami, mówi grupa, ale my chcemy wiedzieć, kolego AA, jak było podczas tych dwudziestu dwóch twoich pobytów w izbach wytrzeźwień? Wszak wspominałeś, że zwiedziłeś te przybytki — w Zielonej Górze, Wrocławiu, Legnicy i innych miastach. Opowiedz nam, jak cię gliny zgarniały z

Dobrze, gdy wieczorem zdołał się przwlec pod blok, gdyż wtedy matka, stale myszkująca po piciowie, odnajdywała go w porę, leżącego w budzie lub w cembrowinie. Gorzej, kiedy go zwała na ulicy, bo wówczas gliny odstawiały go do Raculki.

Miewał występy zagraniczne, nawet na dworcach i w pociągach. Budził się czasem w kaftanie, czasem we krwi, siuszkach lub kale. Patrzył na okratowane okienko i daremnie usiłował sobie przypomnieć, co robił poprzedniego dnia. Stawał przed kolegami, wysłuchiwał moralów, płacił mandaty.

Miewał też przestoje i podczas jednego takiego przestoju, matce udało się ożenić go, z Ireną. Wrobić we wspólne łóżko z bezdzietną wdową, starszą o osiem lat od niego, ciężką i prawie łysą od trwałych undulacji.

Nie czuł pociągu do żony, a ponieważ ona nie nalegała, spał z sobą rzadko. A i to zdarzały się katastrofy... Bo Tomasz na bardzo silnym rauszu, tracił czucie.

Mimo to wszystko jakoś stało na do brej drodze. Zmienił pracę i o dziwo, więcej zarabiał. Dał się zaprowadzić do przychodni i zrobić wszyskwe.

Wyskubał ją potem za namową kolegów. Okres abstynencji zakończył się totalną klęską. Wywaleniem z pracy. Mordobiciem w domu.

Grupa żąda, żeby Tomasz dokonał te raz samookreślenia. — i Tomasz stwierdza, że jest, albo lepiej — był, alkoholem podwójnym: biologicznym i psychicznym. Musiał pić, ponieważ ssało go w żołądku. Musiał pić, bo brakowało mu... światłości. Nawet po niewielkiej ilości alkoholu, zaczynało ustawać ssanie i zjawiała się światłość. Powoli wszystko robiło się proste i osiągalne. W sumie Tomasz określa swój przypadek jako trudny.

Grupa pyta, co spowodowało, że trafił tutaj. Otóż o ruchu AA przeczytał w gazecie i po upewnieniu się co do szczegółów u pani magister, przyszedł na pierwsze spotkanie. Zastał czterech mężczyzn w różnym wieku i kobiecie, żonę jednego z nich. Kobieta postawiła na stoliku szklankę z herbatą.

Był spięty, nieufny, zamknięty.

Spotkanie prowadził najstarszy, w okularach, wyglądający na inteligenta. Miał pseudonim — Profesor. Tomasz struchlał i oniemiał. Słuchał co ten nieznajomy facet wygaduje o sobie. Ze był pijakiem, awanturnikiem, złodziejem. Ze był żonę, aż zachorowała i umarła. Ze rozkwaśił ojcu twarz, aż mu ją musieli zesztywać. Był wyrzucany z pracy, syział pod płotami, siedział w więzieniach...

Tomasz denerwuje się: — Wybaczenie koleży AA, ja tak jak tamten, nie potrafię. Nie umiem się biczować. Nie wyciągnę tu przed wami całego mojego u-podlenia. Nie mogę...

Pani magister chce pomóc i przerywa Tomaszowi pytaniem: czy lubi, by go chwalo-no? Albo trochę inaczej: czy motywem do pozytywnych działań jest dla niego pochwała, czy raczej nagana?

— Zdecydowanie wolę nagane — mówi Tomasz — bo gdy ktoś słusznie i rzeczowo wytknie mi moje złe postęпки, wiem przynajmniej, od czego mam się odbić.

Wywiązuje się dyskusja, która kończy się generalnym wnioskiem. Ze tylko woła, silna i nieprzymuszona własna wola, może człowieka uratować. Krzyż więc człowiekowi z całej siły krzyż. Niech ci inni nie słyszą ale sam usłysz swoje dramatyczne wołanie: chcę z tym skończyć, wyzwolić się, chcę się zdźwignąć — i w pragnieniu tym wytrwać!

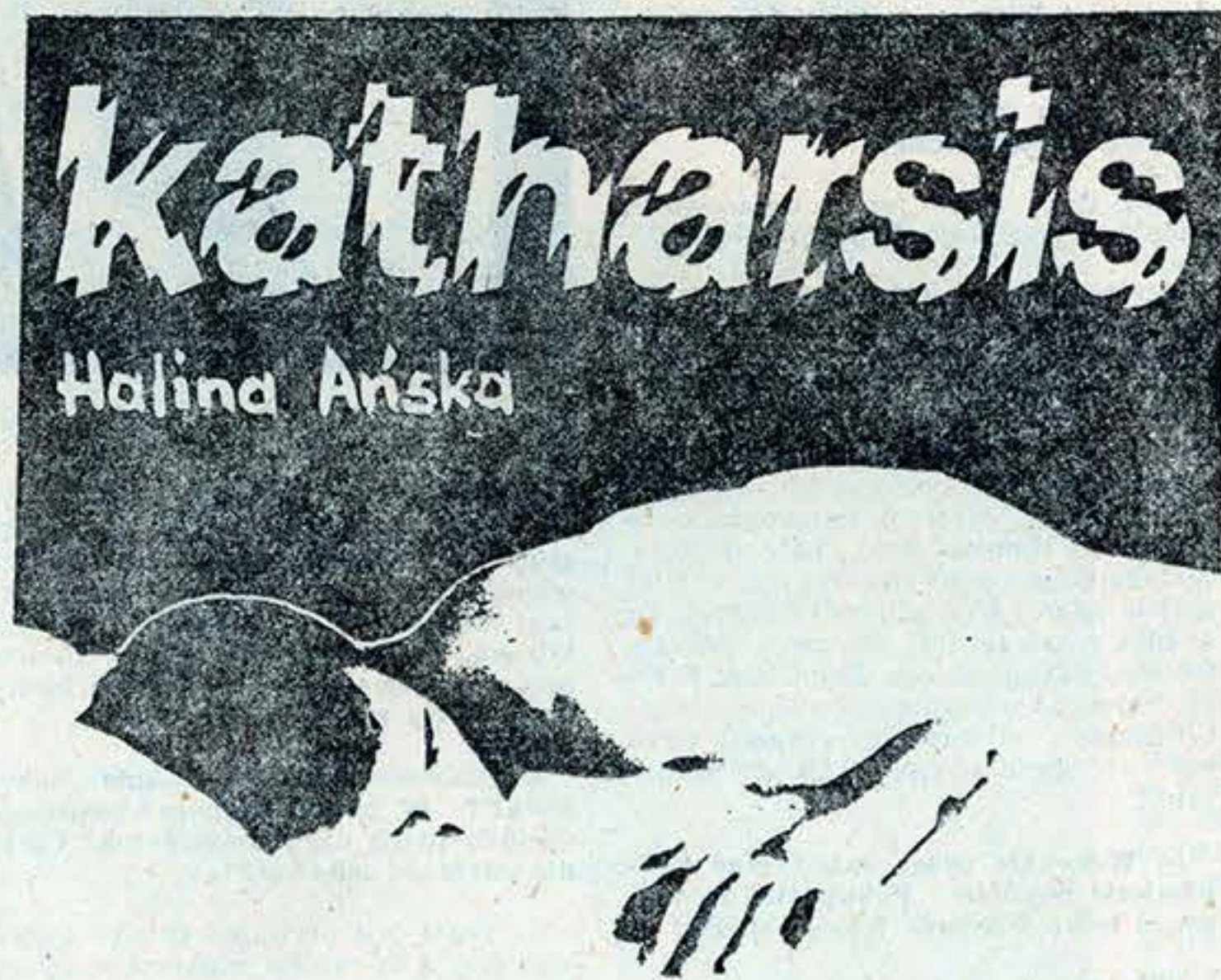
Grupa uważa, że Tomasz nie odstąpił wszystkich zakamarków. Jest mało samokrytyczny. Wprawdzie mówi ładnie i przyjemnie się go słucha, ale nie o to chodzi. Piciorys nie powinien być ładny. Powinien być ostrzy jak brzytwa, drażliwy, bezlitosny. Żeby bolało, żeby ścisnęło w gardle, żeby się bebecchy wywierały.

Pomimo niespełnienia wszystkich warunków, grupa udziela odpuszczenia. Kleknij Tomaszu niewierny, kleknij bracie AA, i powtarzaj. Spowiadam się wam, koledzy i bracia, że grzeszyłem myślą, mową oraz uczynkami przez połowę mojego życia. Za grzechy żałuję i mam mocną wolę poprawy, w czym pomóż mi, grupo.

Spraw, jeśli możesz, bym wytrwał w codziennym przyjmowaniu komunii w przychodni AA przy ulicy Wyspiańskiego. Abym rozumiał sens „Piętnastu myśli pod rozgware pijących” i zdążył zrobić „Dwanaście kroków do wyzdrowienia”. Abym wziął udział w mitingu w Zaganiu. Abym nie urządził się, ani z radości, ani ze smutku.

Oslab, grupo, przeciwnika, śmiertelne go wroga, który czyha na mnie i takich jak ja, w sklepie i na stole podczas chrzcina i pogrzebu, w głorii monopolu i kalendarza.

Pomóżcie mi, ludzie, abym już nigdy nie powrócił do chłania. Amen.



nie zawsze jest rozumiany, zresztą nie zawsze też rozumie sam siebie.

Grupa kiwa głowami na znak pełnego zrozumienia. Byli tu już i poeci. Prosi Tomasz, by zechciał przeczytać jakiś swój wiersz — i Tomasz czyta:

Ziemia, po której chodzę
wciąga me nogi młode,
w deszczową pogodę,
w ciemność świata,
u schyłku lata.

Moja ścieżka wśród liści
marzeń mych nie ziści.
Ciełarem moim się smucę,
przy końcu ścieżki go zrzuć,
Obejrzyj się, by przez drogi szmat,
ujrzeć punkt, gdzie narodził się świat.

Kończy się droga,
a we mnie trwoga.
Zegnaj cię, życie w rozkwicie,
które kochałem w zachwycie.

A ścieżka dalej się wije,
Lecz chodźcie po niej będą
już inni ludzie...

ulicy, niczym wielki śmieć. Jak pewnej nocy skopał cię pijany sanitariusz. Jak byłeś smagany na nagusa lodowatym biczem. Jak się zesikiwałeś żonie w łóżku. Jak wałęsałeś butelką w okno wystawowe. Jak się pociąłeś zaostrzoną o kraty złotówką...

Na poprzednim zebraniu swój piciorys przedstawił Inżynier Bez rozczulania się nad trudnym dzieciństwem, bez efektownych dodatków, w postaci ojca — pijaka i matki — wariatki. Ostro, szczerze i po męsku odmalował życie, jakie było. Przesrane, rozbite, zaplute.

Inżynierowi grupa przyznała odpuszczenie po dwóch godzinach. Szczepan panowi — po godzinie. Szczepan miał piciorys krótki. Zaczął pić, mając lat 17, skończył mając 25. Jego odynek był równie sukcesem grupy. Ale właśnie przestał się pokazywać i grupa zamierza sprawdzić, co z nim jest.

Żeby tylko nie to, co z panem Jankiem. Pana Janka wszyscy lubili. Podejmował próby parokrotnie. Posłusznie dawał sobie zrobić wszyskwi. Brał komunię. Przyszedł z żoną na spotkanie. Był skruszony, pokorny, uległy, skłonny do każdej pokuty. Miękkki.

Zbyt miękkki. Nie przetrzymał. Przyszedł chwilą krzyżu, przeladował — i odszedł. Na pogrzeb wybrali się całą grupą. Szkoda chłopca.

Tomasz przebiega teraz galopem „... ścieżki swojej młodości” (to z wiersza). Zawsze marzył, żeby być kimś. Człowiekiem bogatym, niezależnym, odważnym. Mieszkać — dajmy na to — w akwarium, mieć samochód, ubierać się w zagraneckie ciuchy. Chodzić krokiem pewnym, zabierać głos na zebraniach, dokonywać rzeczy ważnych.

Pani magister wtrąca pytanie. Jak Tomasz zamierzał wszystko to osiągnąć? Tomasz przyznaje, że wcale nie zamierzał. Nie miał żadnego pomysłu na dochodzenie do sukcesu. Interesował go tylko czubek góry. Tylko sam sukces.

Miewał też sukcesy naprawdę. Na przykład — całkiem niespodziewanie został zakwalifikowany do krajowego turnieju wiedzy zawodowej.

Na turniej pojechała drużyna szkolna, w niej Tomasz. Po zawodach — piciu. Na umór. Nawet sam instruktor stawał: — Zawsze piłem wasze, pićcie dziś ślaj moje...

Obrazek z pierwszego dnia pracy. Wchodzi Tomasz na plac budowy, z nim dwaj koledzy, w rękach trzymają skierowania. Cisza, pusto. Ani żywej duszy. Miał być instruktor — ale go nie ma.

Jednak jest. Spi w popsutej wywrotce, mało żywy po wczorajszym chłaniu. — Chłopaki, lećcie na róg i przynieście po łówkę, bo zdechnę...

W następnym miejscu pracy, u prywatnego majstra, dzień rozpoczynał się od zakupów. Wychodząc z domu Tomasz od razu wstępował do sklepu i ładował flachy...



Dziecko w lesie

Ileż gwałtów, morderstw i bestialstw widziały leśne drzewa? Gdy akcja kryminalnego filmu przenosi się choćby do zagajnika — atmosfera gęstnieje, tempo narasta, muzyka wzmacnia się aż do kulminacyjnego punktu. Czy dla złooczyńcy może być coś bardziej prowokującego niż dziecko samotne w lesie? Silny dorosły, w obliczu słabości, staje się zły.

Oto, co zdarzyło się w jednej z zielonogórskich wsi. Mała Kasia szła przez las z owcami. Niewielki pochód zamykał jej młodszy braciszek i piesek. Dzieci prowadziły zwierzęta na znajomą polanę, porośniętą soczystą jeszcze trawą. Nie wiedziały, że są obserwowane. W niezbyt dużej odległości siedzi za nimi młody mężczyzna, prowadził rower. Właśnie wracał do domu z wyrębu lasu.

Tę małą Kasię znał z widzenia. Coś nieodparcie ciągnęło go do dziewczynki. Kilkakrotnie obserwował ją z ukrycia. Dzisiaj spotkał ją kolejny raz i... właśnie dziś miał tak dużo wolnego czasu. Powoli siedzi za dziećmi i... te znalazły się na polanie, obserwował je zza pobliskich brzoź.

Rodzeństwo tymczasem bawiło się, robiło wianki z polnych kwiatów. Cała ta scena wyglądała tak sielankowo, a Kasia była tak przeliczna, że mężczyzna zapragnął dziewczynki. Wyszedł więc z ukrycia i przywołał dziecko po imieniu. Dziewczynka zareagowała, z pewną rezerwą zbliżyła się do obcego, a kiedy ten przyjaźnie zaczął rozmawiać, nabrała większej pewności. Opowiadała o sobie, o braciszku, rodzicach i szkole. Mówiła, że lubi zwierzęta, a granatowy dres dostała od mamusi. Brat, Dawidek, ma podobny, tyle że mniejszy.

Chłopczyk siedział na trawie na uboczu i niewiele słyszał. Bał się nieznajomych i trochę dziwił się śmiałości siostry. Ale przecież ona była starsza i chodziła już do trzeciej klasy. W pewnym momencie wydawało mu się, że nie słyszy już rozmowy. Obejrzał się. Siostry i obcego już nie było.

Mężczyzna wyprowadził Kasię z polany pod pozorem obejrzenia roweru. Dziewczynka nawet chciała trochę pojeździć, ale „ukraina” była dla niej stanowczo za duża. Mężczyzna posadził Kasię na siodelko i zaczął prowadzić rower, najpierw wolniutko, potem coraz szybciej, aż wreszcie zaczął biec. Kasia zaczęła krzyczeć, że chce wracać, więc mężczyzna zatrzymał się, nakazał spokój i popchnął dziecko w kierunku najbliższych krzaków. Mocno trzymał za rękę i nie pozwalał się wyrwać. Nie był taki miły jak wcześniej. Kiedy oboje znaleźli się pod osłoną bujnej roślinności — mężczyzna rzucił się na dziewczynkę i zaczął szarpać jej odzież. Szybko poradził sobie ze spodniami od dresu. Wtedy Kasia znów zaczęła krzyczeć. Przyszyty do jej usta dżonka, a drugą usiłował zdjąć majtki. Nie mógł tego zrobić szybko, bo dziecko szarpało się, dlatego rozerwał bieleżną. Patrząc na Kasię, rozebrał się i dżonką pieścił dziecko i siebie. Wreszcie zaczął się onanizować. Próbował włączyć do tego dziewczynkę, ale ona nie reagowała.

W tym czasie Dawidek szukał siostry. Nie widział jej nigdzie w pobliżu, więc szybko pobiegł do domu po rodziców. Chyba po piętnastu minutach wracał tą samą drogą już razem z matką. Ta, przerażona, szukała dziecka. Wołała Kasię. Przeszukała wszystkie zagajniki w pobliżu polany. Bezskutecznie. Wtedy zauważyła w drodze koleinę po rowerze. Idąc tym śladem znalazła córkę — z krzaków wystawała jej nóżka. Kasia leżała nieprzytomna, do połowy naga. Na brzuszku widniała zastygnięta sperma.

Na szczęście dziewczynka nie została zgwałcona. Zemsta była z nadmiaru wrażeń. Mężczyzna dokonał aktu „samodzielnie”, ekscytując się widokiem dziecka, nawet podniecając przerażeniem.

Mężczyznę, sprawcę całego brutalnego zdarzenia, zatrzymano wieczorem tego samego dnia. Z podanego przez dzieci rysopisu rozpoznał swego pracownika leśniczy. Romana Z. skazano na jeden rok pozbawienia wolności.

EWA ZAREMBIANKA

Wszystkie imiona bohaterów są zmienione.

NASZE XXX lecie

Kolejną imprezą o imponującym zasięgu i rozmachu, w której w 1970 r. brało udział „Nadodrzie” jako jeden z jej współorganizatorów — było II Lubuskie Lato Filmowe, z udziałem twórców i realizatorów, krytyków i teoretyków filmu, w trakcie którego prezentowano i dyskutowano najnowsze dorobek polskiej kinematografii. Była to jedna z tych inicjatyw lubuskiej działy kulturalnej, która stwarzając po raz pierwszy okazję do konfrontacji w określonej dziedzinie twórczości — przynosiła niezwykle interesujące rezultaty. Był to bowiem okres gorących dyskusji i sporów na temat przeszłości, aktualnej sytuacji i perspektyw polskiego filmu. „Nadodrzie” wniosło też teoretyczny wkład w tę imprezę zastanawiając się, czy w polskim filmie istnieje temat współczesny, współczesny bohater, jak mówić w filmie — o sprawach, czy o ludziach, poprzez wielkie panoramy wydarzeń, czy poetyckie przetwarzanie rzeczywistości? Czy najnowsze (wtedy) propozycje filmowe były znaczące filozoficznie i czy wyznaczały katalog problemów, dotyczących istoty współczesności? Redakcja opublikowała w piśmie w związku z tym cykl wypowiedzi, czołowych twórców i krytyków filmowych, relacje z przebiegu LLF, fragmenty wygłoszonych tam referatów (m.in. oryginalne opracowanie Bogumiła Drozdowskiego pt. „Ziemie Zachodnie w polskim filmie fabularnym” oraz interesujące wywiady z czołowymi twórcami polskiego filmu — Andrzejem Wajdą i Krzysztofem Zanussi (nr 16/209 i 17/210). Mimo, iż ze względu na propagandowych podwójnych obowiązujących „Nadodrzie” zajmować się musiało także realizacją wskaźników syntetycznych i zadań odcinkowych w przemysle medialnym — rok 1970 był na łamach pisma ciekawy i bogaty.

Natomiast pierwsza połowa lat siedemdziesiątych została wyraźnie określona zmianami, jakie nastąpiły po grudniu 1970 r., a zwłaszcza po VI Zjeździe PZPR, Profil „Nadodrza”, jako pisma społeczno-kulturalnego o charakterze regionalnym, wykształcony we wczesnej młodości i sprawdzony w ciągu ponad dziesięciu lat jego istnienia generalnie nie uległ zmianie, został jednak uzupełniony nowymi, odpowiadającymi aktualnej sytuacji kraju i regionu elementami, których zasadnicze akcenty położone zostały na współczesność i dać się bliżej wyznaczyć perspektywę. W takiej sytuacji wydaje się słuszne ówczesne dążenie kolegium redakcyjne do pisma do preferowania jego funkcji kulturotwórczych, integrujących i organizatorskich.

Zrozumiałe, że z różnych powodów niektóre z tych funkcji były i są czasem ograniczone, jednak zespół redakcyjny pisma, pomny niebezpieczeństw zaciągania, starał się pisać o sprawach regionu poprzez pryzmat spraw całego kraju. I nie szło tu o próby ratowania się z prowincjonalnych kompleksów, o które posiadano znaczną część prasy regionalnej w pamiętnych dyskusjach na jej temat w tym czasie, a wręcz odwrotnie, o potrzebę widzenia problematyki regionalnej szerzej, w ogólnym nurcie życia kraju, albowiem miał rację znany wrocławski prasoznawca Roman Karpiński który pisał, iż „czasopisma te (tzn. regionalna prasa społeczno-kulturalna) nieprzerwanie występują jak gdyby w podwójnej roli: same są wytworem procesów rozwojowych zachodzących w macierzystym środowisku oraz w kraju, a zarazem przyczyniają się do nasilania tych procesów”.

Przykładów na tę okoliczność można przytoczyć wiele, śledząc roczniki „Nadodrza” aż do dnia dzisiejszego (w tym sensie stanowią one znakomitą dokumentację historii regionu), żeby przypomnieć tylko prasową batalię o „Lubuską drogę do uniwersytetu”, a szczególnie o powstanie i rozwój Lubuskiego Towarzystwa Naukowego, imprezy takie jak Lubuskie Lato Filmowe, wystawy i sympozja p.n. „Złote Grono”, festiwałe piosenek radzieckiej i folklorystyczne, którym pismo poświęcało wiele uwagi i wnosząc w nie swój twórczy wkład, wreszcie problematykę oryginalnej twórczości literackiej i w końcu szeroko rozumianą problematykę społeczną, ruchu społeczno-kulturalnego, który tu, na Ziemi Lubuskiej zaowocował szczególnie i stał się dobrym przykładem dla wielu innych regionów kraju. To tylko niektóre przykłady, o których bez pisma trudno było mówić. I w tym sensie „Nadodrzie” podobne było i jest pod wieloma względami do pism regionalnych, które ukazują się, bądź ukazywały zwłaszcza na zachodzie i północy Polski.

WIESŁAW NODZIŃSKI

— Od kilku lat zajmujecie się niemal wyłącznie scenografią, choć Wiesław jest grafikiem, a Ewa skończyła malarstwo. Dlaczego zdecydowaliście się na dyscyplinę niesamodzielną, podporządkowaną koncepcji kogoś innego — reżysera przedstawienia?

— Spektakl tylko wtedy jest dobry, gdy emanuje z niego identyczne myślenie reżysera, scenografa i aktorów, a każdy wyraża tę samą ideę za pomocą innych środków. Dlatego nie mamy kompromisów przy współpracy z Ryszardem Majorem lub z Wiesławem Górkim. Z nimi po prostu znakomicie rozumiemy się. Gorzej, gdy scenografia jest wyrazem kompromisu między nami a reżyserem, najgorzej — ale tak chyba dotąd jeszcze nie było — gdy reżyser bez dyskusji narzuca swoją koncepcję. Scenografia wymaga różnych umiejętności, dlatego bardzo przydają się doświadczenia Wiesława w poszukiwaniu graficznego symbolu i Ewy — w zakresie malarstwa.

— Do ilu sztuk przygotowaliście już oprawę scenograficzną?

— Z tymi, które już są opracowane, choć jeszcze nie zrealizowane — 40.

— Niedawno w zielonogórskim Teatrze im. L. Kruczkowskiego odbyła się premiera „Pokojówek” w reżyserii Wiesława Strebekki. Nowa specjalizacja?

— Tak. Latwiej będzie się dogadać scenografowi z reżyserem. Chcielibyśmy podziękować dyrekcji zielonogórskiego Teatru za umożliwienie nam debiutu Zielona Góra od lat stanowi ważną część w naszej biografii artystycznej. Tu w 1974 r. poznaliśmy Ryszarda Majora, Ryszarda Żurawskiego, Bogusława Kierca. Wówczas przygotowaliśmy plakaty. Dopiero ci reżyserzy zainicjowali nas i stworzyli szansę realizacji scenografii.

— Wszystkie prace plastyczne podpisujecie wspólnie. „Pokojówek” reżyserował tylko Wiesław. Koniec spółki?

Wiesław: — Nie, wszystkie problemy omawialiśmy razem, Ewa pierwsza akceptowała moje pomysły i rozwiązania. Ale nie mogliśmy na czas prób oboje wyjechać z domu, z Gorzowa do Zielonej Góry. Organizacyjne również trudne było prowadzenie prób, na planie winna pracować tylko jedna osoba.

Ewa: — To prawda, że pomysły pierwsza akceptowałam, że często i długo rozmawialiśmy o „Pokojówek”. Te sztuki przygotowywał jeden mężczyzna z pięcioma kobietami. Jest to rzecz o zależnościach, o posiadaniu, o podporządkowaniu, o dominacji psychicznej. Nie mogłam wchodzić w tamten układ, nie mogłam narzucać siebie. Na planie odbywał się przecież dalszy ciąg gry między mężczyzną a kobietą, będący tematem sztuki.



Spektakl tylko wtedy jest dobry, gdy emanuje z niego identyczne myślenie reżysera, scenografa i aktorów...
Fot.: KAZIMIERZ LIGOCKI

— Jechałam na premierę z ogromnym niepokojem. Wiedziałam o wszystkich rozterkach Wiesława, o trudnościach. Powiem krótko: bardzo mi się ten spektakl podobał. W nim odkryłam nowego Wiesława. Zaskoczył mnie głębią spojrzenia, a wydawało mi się, że po latach małżeństwa znam go dobrze.

— Dlaczego wybrałeś właśnie „Pokojówek”? W jakim stopniu realizacja spełnia twoją wizję artystyczną? Czego nie udało się osiągnąć?

— Teatr jest dla mnie przede wszystkim grą, a ta sztuka znakomicie ukazuje przewrotność. Aktorki grają kogoś, kto nie jest tym, kogo grają. Sztuczność mnie fascynuje. I obnażanie jej, odkłamywanie. „Pokojówek” są ponadto sztuką o terroryzmie, o władzy, o manipulowaniu, są tropieniem granicy buntu, od krywania drogi prowadzącej do samouniemożliwienia. Myślę, że udało mi się pokazać zabawę w teatr, że wątek faktograficzny został oddany wiernie. Natomiast mam zastrzeżenia do drugiej warstwy, do nurtu filozoficznego, do analizy istoty terroryzmu.

— Czy reżyserski debiut będzie miał kontynuację? Czy macie inne propozycje? Co chcielibyście wystawić?

— Mamy dwie propozycje, które właśnie rozważamy. Za wcześnie, by o nich mówić. Reżyseria bardzo nas — wspól-

W sztuce nie ma demokracji

Rozmowa z Ewą i Wiesławem Strebekami

ności bądź znajomości. Tam zawsze ramię zarobi więcej od Grabarza, pamiłko że Hamlet jest młody, a Grabarza ma za sobą 40 lat pracy. A jednak mimo tak wysokich wymagań we Francji wcale nie powstaje dużo znakomych przedstawień. Doświadczenia wywiezione z Francji dają nam wiarę w sens pracy tutaj, w Polsce.

— Czy w dalszym ciągu utrzymujecie kontakty z Francją?

— Teatr Balatoum z Lille zamówił u nas plakaty, mówi się o kolejnej scenografii, nawet reżyserii, ale to jeszcze przyszłość. Z dużym powodzeniem gra na festiwalu w Avignon, do której Ewa robiła scenografię i kostiumy. Została zaproszona do udziału w festiwalu w Avignon. My też. Wiosną odbędą się w Paryżu dwie wystawy: obrazów Ewy i naszych plakatów.

— Zainicjowaliście współpracę teatrów z Lille i Gorzowa. W Gorzowie gościł teatr francuski, mówili się o wyjeździe gorzowskiego teatru do Francji. Co dalej?

— Podtrzymywanie tych kontaktów zależy nie od nas, a od dyrekcji teatru i od miejscowych władz. Więcej nie mogliśmy zrobić.

— Nad czym teraz pracujecie?

— Zrobiliśmy scenografię do „Zegnań, Judaszu” dla teatru im. Kleista we Frankfurcie n. Odrą, sztukę tę reżyseruje Antoni Baniukiewicz. Zaprojektowaliśmy plakat dla Filharmonii Pomorskiej, przygotowujemy się do wystaw we Francji. Inne propozycje też mamy, ale są jeszcze w sferze uzgodnień.

— Pozytywnie na rynku plastycznym i najwięcej nagród zdobyliście dzięki plakatom. Czy scenografia pokonała plakat?

— Nie scenografia, a życie. Projekt plakatu kosztuje teraz 10.800 zł, a druk — milion. Mało kogo stać na taki wydatek. Rocznie otrzymujemy 2-3 zamówienia. Więcej plakatów robimy na zlecenie z Francji, ale tam bardziej niż idea plakatu liczą się względy komercyjne. Bardzo chcielibyśmy wrócić do polskich plakatów, ale szanse są raczej niewielkie.

— Życzę więc sukcesów w teatrze. Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała:
KRYSZYNA KAMINSKA



Rozpaczliwe pragnienie zła

Trudno jest zrozumieć Geneta, tak, jak trudno było zrozumieć sposób w jaki żył, na przekór prawu, normom społecznym i obyczajom. Jego wyobraźnię ukształtowały domy poprawcze i więzienia, także w Polsce, a jego realny świat zaludniały postacie przewrotne, zdrańcy i przestępcy. Jean Paul Sartre po wiedział, że Genet po prostu kochał zło, zła „rozpaczliwie pragnął” i poszukiwał, a w swoich utworach sztychował i nie moralnych zło pochwalał.

Właśnie szyderstwo Geneta, te brudne, kreską rysowane ludzkie charaktery, ta pasja przedstawiania sytuacji wstydlivych, bolesnych i okrutnych, wreszcie z upodobaniem powtarzane obrzydliwości, skłaniają do postawienia twórczości Geneta przed lustrem i próby odczytania wspaniałości tego, co napisał. Jean Genet, złodziej, pederasta i włóczęga, czyż nie jest człowiekiem samotnym i nieszczęśliwym? Czyż nie jest twórcą, który pod buntiem przeciwko wszystkiemu mu co dobre i apoteozą wszystkiego co złe, skrywa w sercu tęsknotę do piękna? Pragnienie dobra i czystości?

Sztuka „Pokojówek”, powstała przed z górą czterdziestu laty, z tekstem gestym i klejstym, lepkiem od śliny i damskich pachnidel, napisana jest na trzy głosy. Niektórzy twierdzą, iż jest to utwor wybitnie nieszczeniwy, który po niewielkich zabiegach mógłby stać się opowiadaniem i wtedy zyskałby większą czytelność. W każdym razie trzy aktorki nie musiałyby wówczas uczyć się takiej masy tekstu i martwić się, bowiem wypowiedzie nie wszystkiego na scenie zajmuje tyle czasu, że już mało go pozostaje na uraenie.

Treść sztuki brana powierzchownie jest prosta. Pokojówki Solange i Claire będące siostrami i lubiące pod nieobecność chlebodawczyni przebiegać się w jej suknie oraz zabawić w stosunki między panią a sługą, denuncjują męża Pa-

ni, zaś ją samą postanawiają otruć, wysypując truciznę do zaparzonego ziołka. Zamiar nie udaje się. — Gdzie ma je ziołko? — pyta Claire udająca Panią, po czym świadomie wypija zawartość filiżanki, jako ofiara zbyt daleko posuniętej mistyfikacji oraz dominującego wpływu siostry.

Jest to więc sztuka również o granicach mistyfikacji i udawania, o kruchej rampie dzielącej aktorstwo i życie oraz życie i śmierć, o pięknie ciała i brzydocie dusz. Wśród kobiecych akcesoriów, na przestrzeni wypełnionej kanapą, szafą z sukienkami i toaletką z porostawianymi kosmetykami, w atmosferze zaduchu, erotycznego niepokoju i perwersji, rozgrywa się dramat, zakończony przedśmiertnym stripteasem Claire.

Jej nagość, przykrywana połyskliwym szkarłatnym przez zbrodniczą siostrę, tak że taniec luster i przesłonięcie ich całkami, sugerują widzowi jakąś symbolikę, do końca jednak niezrozumiałą. Przedstawienie jest przegadane, a wykończony nawczyń robiąc, co mogą, w gąszczu słów, by wygrać dla siebie i widowni kolejne sytuacje.

Nie można przedstawieniu odmówić walorów wizualnych — kolorystyki, gestu, ruchu oraz wynikającej z nich dwuznaczności. Jest jednak całkiem fatalne pod innym względem. Oto Wiesław Strebekko debiutujący w charakterze reżysera, aby wzmocnić napięcie, wprowadził przedziwny efekt akustyczny. Jest to ciękie wycie, rozlegające się od początku do końca spektaklu, nieprzerwanie, z różnym natężeniem. Kiedy aktorki na scenie wypadają głośniejsza, równie wycie przechodzi z głosu w forte. Można by od niego nazwać je śpiewem, gdyby było mniej fałszywe. Ale jest niczym innym, jak zakłóceniem odbioru Polowa tekstu przepada.

Po przeczytaniu programu widz dowiaduje się, że jest to „wokaliza”, a jej wykonawczynią jest inspicjentka. Nie ma w teatrze znaczenia kto co robi, byleby robił dobrze i z korzyścią dla przedstawienia. Toteż nie zdziwi się, gdy



Sigrid Siewior — Solange i Malgorzata Wower — Claire: przewrotność, zdrańca, żądza zła...
Fot.: CZESŁAW LUNIEWICZ

reżyserii spróbuje kiedyś np. architekt, lekarz czy choćby dziennikarz, a wokalizę wykona bileterka czy księgowa. Znamu artystów-plastyków Wiesławowi Strebekko, który wspierany tylko częściami przez żonę, zaprezentował się jako Zosia-Samosia, należy się podziw za odważną rozpętałość zainteresowań twórczych.

Mimo to w przyszłości w sprawach ilustracji dźwiękowych zbliżonych do muzyki, należałoby poradzić się kierownika muzycznego, wszak o ile wiem, jest

takie stanowisko w zielonogórskim teatrze?

HALINA AŃSKA

Teatr im. Leona Kruczkowskiego w Zielonej Górze; Mała Scena; Jean Genet „Pokojówek”. Przekład Jan Błoński; reżyseria Wiesław Strebekko; scenografia Ewa i Wiesław Strebekko; obsada: Danuta Ambroz — Pani, Sigrid Siewior — Solange, Malgorzata Wower — Claire.
Premiera 7 listopada 1987 r.

...Jestem pewien, że coś takiego przyszło jej do głowy, otoczyło ją aureolą. Oczyma duszy widziałem jak powoli rozczesuje włosy, dotyka pierś, rozciera ślady moich zębów na szyi, ma nadzieję, że Melania ich nie spostrzeże, ale i tak się tym nie przejmuję. Nie przejmuję się tym, czy Melania podsłuchuje, czy nie. Zamysłona pyta sama siebie, jak do tego doszło, że mnie utraciła. Wie już teraz, że gdyby miała przeżyć życie na nowo, nigdy by się tak nie zachowywała, nigdy by się nie martwiła o głupstwa. Przecież to idiotyzm zamartwiać się tym, co może robić inna kobieta! Czy to takie ważne, że mężczyzna zboczy raz po raz ze swojej drogi? Zamknęła się, zbudowała wokół siebie klatkę — udawała, że nie myśli o niej, że śmie się p... bo już nie jesteśmy mężem i żoną. Straszliwe upokorzenie! Pragnęła wściekle, tęskniła, łasiła się niemal jak pies, a przecież szczęście było tak blisko, przez cały czas na nią czekało. Kogo obchodził szustanie lub niesustanie numeru? Czy ta cudowna, wykradzioną godziną nie była lepsza od wszystkiego, co przeżyła? Poczuć winy? Nigdy nie czuła się mniej winna niż teraz. Nawet gdyby ta druga tymczasem umarła, nie odczułaby wyrzutów sumienia.

Byłem tak pewien, że o tym właśnie myślała, że nawet postanowiłem ją o to zapytać przy następnym spotkaniu. Oczywiście następnym razem mogła być dawną sobą — u Maude wszystko było możliwe. Poza tym lepiej było nie zdradzać nadmiernego zainteresowania — mogłem spróbować nowy przypływ jadu. Lepiej zostawić wszystko na beznamietnej płaszczyźnie. Nie dawać jej powodu do popadania w stare błędy. Wejść z radosnym powitaniem, zadać parę pytań, wystać dziecko na podwórko, usłać blisko, spokojnie, stanowczo wyjąć kutasa i dać jej do ręki. I żeby w pokoju nie było zbyt jasno. Zadowolonych gupstw. Podejść, zapytać, jak leci, włożyć rękę pod sukienkę i poczuć, jak płyną soki.

Ten dodatkowy numer w ostatniej chwili i mnie dobrze zrobił. Zawsze kiedy naruszamy własne rezerwy, przywołujemy resztki siły, zdumiewa nas bezmiar energii, z której możemy korzystać. Zdarzało mi się to i przedtem, ale nie zwracałem na to uwagi. Nie przespana noc, po której szedłem do pracy, wpływała na mnie podobnie. Albo odwrotnie, wylegiwanie się nad wszelką miarę, zmuszanie się do odpoczynku, gdy wcale odpoczynku nie potrzebowałem. Żeby złamać przyzwyczajenie, ustanowić nowy rytym — proste chwyt, znane już starożytnym. Nigdy nie zawiodył. Złamać stare przyzwyczajenia, wyzerpane powiązania i uwolnić ducha, ustanowić nowe skrajności, stworzyć nowe napięcia, oto co technię w nas nowe siły żywotne.

Tak, z najwyższą przyjemnością obserwowałem iskrzenie mego umysłu, promieniującego we wszystkie strony. Oto uniesienie i elan, o które się modliłem, gdy ogarnia mnie chęć pisania, gdy siadałem i czekałem, aż nadejdzie natchnienie. Nigdy nie nadchodziło — nie tak. Zawsze później, czasem wówczas, gdy wstawałem od maszyny do pisania i szedłem na spacer. Nagle nadchodziło, jak atak, zgłęb, z każdej strony, prawdziwy zalew, lawina — a ja byłem bezradny, setki kilometrów od maszyny do pisania, bez kawałka papieru w kieszeni. Czasem biegłem truchotkiem w kierunku domu, nie za szybko, że by się nie ulotniło, ale luźno, swobodnie, jak w p... — kiedy idziesz na luz, nie zastanawiasz się, o to chodzi, tam i z powrotem, chłodno z dystansem, udając przez samą sobą, że to twój kutas różni, nie ty. Dokładnie tak samo. Truchtem, równo, trzymaj się, nie myśl o maszynie do pisania ani o tym, jak daleko do domu, luźno, spokojnie, o to chodzi...

Cwicząc w duchu te dziwne chwile natchnienia, nagle przypomniałem sobie, jak jechałem kiedyś do teatru, wystawiającego burleski „The Gayety” na Brooklinie (róg Lorimer Street i Broadwayu) — metro mknęło wyniesionym nad poziom ulic wiaduktem. Dwie stacje wcześniej dopadło mnie. Był to nader ważny atak, bo po raz pierwszy w życiu uświadomiłem sobie, że tak właśnie wygląda „przyływ natchnienia”. Zdałem sobie sprawę, że w ciągu paru chwil przytrafi mi się coś, co najwyraźniej nie każdemu się trafia. Nadeszło bez ostrzeżenia, bez żadnego powodu. Może dlatego, że umysł mój opustoszał, że się zatopiłem w sobie, głęboko, że dałem się ponieść myślom. Doskonale sobie przypominam, jak nagle pojaśniał świat wokół mnie, jak w mgnieniu oka mój umysł zaczął działać przerażająco sprawnie i szybko, jak myśli wyskakiwały jedna po drugiej, obrazy następowały po sobie błyskawicznie, wymazując się kolejno, gorąco kowo płać, by je zarejestrować. Ten Broadway, którego tak nienawidziłem, zwłaszcza z góry, z wagonów metra (z których patrzyłem „z góry” na życie, ludzi, budynki, krzątanie), tenże Broadway nagle przeszedł metamorfozę. Nie stał się idealny ani piękny, ani niereczysty, przeciwnie, stał się przerażająco rzeczywisty, przerażająco żywoty. Ale nabrał nowych cech: był też środkiem świata, a świat ów, który pochwyliłem jednym spojrzeniem, miał sens. Przedtem Broadway kiął w oczy, brzydki i pelen zamętu, teraz zyskał własne miejsce, jako integralna część świata, ani dobra, ani zła, ani brzydka, ani piękna, po prostu był na swoim miejscu. Tkwił tu jak zarzewiały gwóźdź w belce porzuconej na opustoszałej plaży w czasie wietrzego sztormu. Lepiej tego nie umiem wyrazić. Idziecie sobie po plaży, powietrze szczypliwe w twarz, macie dobry nastrój, jasny umysł — nie zawsze błyskotliwy — ale jasny. I ta belka, zjawiskowa część materialnego świata, leży sobie pełna świadomości, o czym nie wiecie. Ktoś wbił młotkiem ten gwóźdź gdzieś, kiedyś, jakos. Miał po temu powody. Budował okręt, którym inni popłyną. Budowa okrętów to dzieło jego życia — jego przeznaczenie i przeznaczenie dzieci wyrażało się każdym uderzeniem młotka. A teraz belka leży tu, gwóźdź zarzewiały, ale na miłość boską, toż to więcej niż zarzewiały gwóźdź — albo nie ma sensu i wszystko jest szaleństwem... Tak to było z Broadwayem. Szynki na wystawach, okropne okna szklarzy, ze stosami kitu na ładach, zostawiające tłuste plamy na podłogach papierze. To dziwne, jak człowiek zmienia się na przestrzeni wieków, od Pithecanthropus erectus do szklarza o szarej twarzy, formującego polyskłą substancję zwaną szkłem, o której przez miliony lat nikt, nawet magowie z dawnych czasów, nie myślał. Zdało mi się, że ułcha z wolna zatapia się, rozpyla w czasie, w czasie, który mija jak ołów, albo ułatnia się jak para, miedzi, nagięła się, deski, regły, zaprawa, szkło, gwóźdź, szynki, kit, papier, wszystko wróciło do wielkiego laboratorium. Nowa rasa ludzi zaludnia ziemię (te same miejsce) nie wiedząc nic o naszym istnieniu, nie przejmując się przeszłością, niezdolna jej zrozumieć, nawet gdyby można było ją przywołać. W rozpadlanych

ziemi pełzały owady, jak to czynili od miliardów lat, uparcie trzymając się swoich ścieżek, nieczym nie przyczyniając się do ewolucji, najwyraźniej rzucając jej wyzwanie. Pokolenia owadów widziały wszystkie rasy ludzkie na ziemi, przetrwały wszelkie kataklizmy, wszystkie porwy historii. W Meksyku niektóre spośród pelających stworów były rozkoszą dla podniebienia. Istnieli ludzie wciąż żywi i stąpający po ziemi, oddzieleni od siebie nie ogromnymi odległościami, ale duchowymi i psychicznymi przepaściami, którzy jedli smażone mrówki, a obliżując się z zadowoleniem słuchali muzyki, która była inna od naszej. Na całym szerokim świecie w tej samej chwili działy się rzeczy kranowo różne,

SEXUS

Henry Miller

(4)



Rys. LESZEK HERMANOWICZ

nie tylko na lądzie, ale także w powietrzu i w głębi morza.

Metro zatrzymało się przy ulicy Lorimer. Bezwiednie wyszedłem, ale nie byłem w stanie ruszyć ku schodom. Pochwycił mnie ognisty strumień, który przygwoździł mnie równie precyzyjnie, jak narpun rybaka. Wszystkie te prądy, które uwolniłem, opływały mnie, pochłaniały ze trzy albo cztery minuty, choć wydawało mi się, że trwa to dłużej. Ludzie mijali mnie jak we śnie. Przyjechał pociąg i odjechał. Potem wpadł na mnie jakiś mężczyzna, biegąc ku schodom, usłyszałem, jak mnie przepasza, ale głos jego dobiegał jakby z daleka. Potrąciwszy mnie, nie miał obrócić. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że mnie uderzył... ale nagle zobaczyłem własną twarz w automacie, w którym ułożono ster gumy do żucia. Oczywiście, że tak nie było, ale miałem wrażenie, że doganiam samego siebie — jak gdybym pochwylił końcówkę mojego starego ja, znanego mi na co dzień osoby, spoglądającej na mnie moimi własnymi oczami. Trochę mi się zakreśliło w głowie, jak każdemu, kto budzą się ze snu, widzi ogon komety na niebie, niknącej na naszej siatkówce. Stałem tam wpatrzony we własne odbicie. Byłem rozluźniony, nieco bardziej trzeźwy, egzaltacja. Upić się. Boże, co tam pijaństwo w porównaniu z czymś takim. (Odbiask, nie więcej). Byłem jakby zaczadzony — ale jeszcze przez chwilę przeżywałem

natchnienie. Jeszcze chwilę temu wiedziałem, co to znaczy odczuwać coś, co wykracza poza radość. Jeszcze chwilę temu zupełnie zapominałem, kim jestem: objąłem całą ziemię. Gdyby przeżycie było bardziej intensywne, być może przekroczyłbym tę cienką kreskę, która oddziela ludzi zdrowych od nienormalnych. Może bym się zdepersonalizował, zatopił w oceanie bezkresu. Po

rażającego transu. (Gówno! Śmierdzące gówno! Wszyscy zerwali się na równe nogi, kurtyna spadła, biletka chwyciła mnie za kołnier i wyrzuciła za drzwi jak lumpa). Ale nie byłem w stanie wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Gardło miałem jak papier ścierny. Świecenie minęło i poczułem, gorąco, gorąco. Myślałem, że się uduszę. O Boże, jak się nudziłem. Jak nigdy dotąd. Zdałem sobie sprawę z tego, że nic się nie zdarzy. Nic się nie mogło zdarzyć nawet gdybym rzucił bombę. Był martwi, cuchnęli śmiercią i tyle. Siedzieli we własnym śmierdzącym gównie, gotowali się w nim... Nie mogłem już tego dłużej znieść. Wypadłem na zewnątrz.

Na ulicy wszystko wydało mi się znów szare i normalne. Przysięgając normalne. Ludzie przewalili się wokół mnie niczym warzywa w pęczkach, przypominali to, co jedli. A z tego co jedli powstało gówno. Nic więcej. Tfu!

W świetle poprzednich doświadczeń z metrem na wiadukcie zdałem sobie sprawę z obecności nowego czynnika o doniosłym znaczeniu. Była nim świadomość. Teraz już wiedziałem, co się ze mną dzieje i do pewnego stopnia panowałem nad eksplozją. Coś tracimy, coś zyskujemy. Nie przeżywałem już tak intensywnie jak podczas poprzedniego ataku, ale nie byłem też tak bezradny jak w jego trakcie. Czulem się tak, jakbym się działy w samolocie mkącym przez chmury z niewiarygodną prędkością, a choć nie umiałem wyłączyć silnika, z radosnym zaskoczeniem stwierdziłem, że przynajmniej panuję nad sterami.

Wyrzucony z normalnej orbity zachowałem na tyle przytomność, by zdawać sobie sprawę z własnego położenia. Widziałem świat tak, jak pewnego dnia miałem go opisać. Natychmiast opadły mi pytania niczym strzały i razy rozgniewanych bogów. Czy zapamiętam? Czy trzeba było po prostu powtórzyć dyktando — niczym wierny skryba posłuszny telepatycznemu rozkazowi mistrza? Czy stworzenie poczyniło się, jak w przypadku ziemi, w ognistym bałbu chaotycznej magmy, czy też trzeba było poczekać, aż pokrywa ostygnie?

Gorątkowo odrzuciłem wszystkie możliwości poza kwestią przypomnienia. Reprodukacja psychicznego odczucia chmury wydawała mi się zadaniem beznadziejnym. Mogłem tylko próbować zapamiętać pewne wskazówki, przekucie je na mnemoniczne kierunkowskazy. Najważniejsze było odnalezienie głównego nurtu — a nie to go, ile znajdzie złota. Moim celem było opracowanie pamięciowego przewodnika po atlasie mego natchnienia. Nawet najwybitniejszy podróżnik nie ma złudzeń i nie liczy na to, że uda mu się dotknąć stopą każdej stopy kwadratowej naszego tajemniczego globu. Prawdziwy podróżnik musi zdać sobie sprawę z tego, że na długo zanim dotrze do kresu swych wędrówek, dostrzeże w samym gromadzeniu cudownych przeżyć coś głupiego.

Pomyślałem o Melanii, której normalnie nie opisałbym, gdybym planował księgę mego życia. Jak jej się udało tu wędrować, choć na ogół ledwie ją zauważałem? Jaki był sens tego wtargnięcia? Co miała do powiedzenia? Dwa znaki przyrodne wpadły mi do rąk. Melania? Ależ tak, zawsze należy pamiętać o pięknie i obiedzie. A dlaczego miałem pamiętać o pięknie i obiedzie? Potem nasunęły mi się takie słowa: „odmiany mięsa”. Później zacząłem snuć subtelne dywagacje na temat zależności między ciałem, pięknem i obiedem. Piękno Melanii brało się z jej anielskiej natury, a obied pochodził z ciała. Cieleśność i anielskość rozstały się i Melania, niewiarygodnie piękna, niczym rozsypujący się posąg, powoli dogasa na ich granicy. (Istniały typy historyczne, którym także udało się izolować ciało, które rozpoczynało szczególny rodzaj własnego życia. Ale zawsze można je było jeszcze podłączyć, zwiększyć napięcie, znów opłamać sytuację. Tacy osobnicy mieli w głowie przełącznik działający jak azbestowe kurtyny w teatrze, które można spuszczać w przypadku pożaru albo dla zaznaczenia, że skończył się kolejny akt sztuki.) Melania przypominała dziwnego nagłego stwora, półludzkiego, półboskiego, spadzającego daremnie czas na próbach wdrapania się na scenę. W jej przypadku nie miało to znaczenia, czy akurat trwało jakieś przedstawienie, próba lub przerwa, czy teatr był pusty i ciuchy. Gramoliła się z odpychającą uwodzicielskim wdziękiem obłąkanych, w całej swej nagości. Może aniołowie noszą tiary czy meloniki, wedle uznania, jak to wynika z relacji niektórych wizjonerów, ale też aniołowie nigdy nie uznano za obłąkanych. Ich nagość nie prowokowała też nigdy do lubieżności. Natomiast Melania potrafiła być śmieszna jak anioł u Swedenborga i prowokująca jak owieczka w rui na widok samotnego pasterza. Jej siwe włosy podkreślały tylko przyskające powaby jej ciała, oczy miała czarne jak smoła, piersi twarde i pełne, biodra i pośladki jak pole magnetyczne. Ale im bardziej skupiałem uwagę na jej urodzie, tym bardziej nieprzyjemny stawał się jej obied. Sprawiała wrażenie, że chadza nago, że zaprasza cię do pieszczotliwych płać, że chce śmiać się niskim, nieziemskim śmiechem pomysłowym, reagujących na nieprzewidywalne wydarzenia. Nawiedzała mnie niczym sygnał niebezpieczeństwa zauważony z okna pociągu w nocy, kiedy nagle zaczynamy się zastanawiać, czy maszynista czuwa, czy śpi. Podobnie jak w takich chwilach zastanawiamy się, sparażowani strachem i niezdolni do wymówienia jednego słowa, skąd nadejdzie nieszczęście, tak też myśląc o pomylonej urodzie Melanii oddawałem się często ekstazycznym marzeniom cielesnym, takim, których już zaznałem, i takim, których dopiero miałem zaimać. Rzucając się w wir przygód cielesnych bez żadnych zahamowań rozbudza w nas poczucie niebezpieczeństwa. Nieraz przeżyłem przerażenie i fascynację znaną osobnikom perwersyjnym, którzy w zatłoczonym metrze ulegają pokusie głaskania uwodzicielskiej dupy albo szczypania za kuszący cycek w zasięgu palców.

CDN

(Fragmenty prozy Henry Millera pt. „Sexus” pochodzą z miesięcznika „Literatura na świecie” nr 5-6 z 87 r. Przekład Sławomira Maga)

HOROSKOP

na rok 1988



Koziorożec

22 grudnia — 20 stycznia
Planeta Saturn, żywioł Ziemia

JAKI JESTES?

Obowiązkowy, wytrwały w dążeniu do celu, pracowity, ambitny, wytrzymały na wszelkie trudy i przeciwności losu, nadzwyczaj lojalny wobec partnerów, kolegów, zwierzchników. Wspinaczka po szczeblach kariery to Twoja specjalność. Gdy coś się nie powiedzie, wpadasz w melancholię, ale szybko dostrzegasz nowy bodziec, który popycha Cię dalej i wyżej. Często zdobywasz stanowiska, zaszczyty, tytuły i sławę, rzadziej pieniądze, gdyż jesteś typem ideowca, który gardzi dorabianiem się. Dochowujesz wierności w przyjaźniach i miłości. Twoja nadmierna ambicja zamienia się niekiedy w niezdolność dla otoczenia upór. Powinieneś też wiedzieć, że dążenie do władzy nie zawsze popłaca. Bądź bardziej tolerancyjny dla otoczenia. W sumie należysz Koziorożcu do osobników pozytywnych, zwłaszcza, że jesteś utalentowany w wielu dziedzinach i miewasz szerokie zainteresowania humanistyczne, od polityki poczynając, poprzez historię, literaturę i teatr, na muzyce skończywszy.

Pod znakiem Koziorożca urodzili się m.in.: Adam Mickiewicz, Józef Stalin, Edward Gierek, prof. Bogdan Suchodolski, Richard Nixon, Mariena Dietrich, Elvis Presley, Edith Piaf, Ewa Demarczyk oraz redaktorzy „Nadodrza” Halina Ańska i Wiesław Nodzyński.

CO JEST NAJWAŻNIEJSZE?

Oczywiście — zdrowie, a więc dbaj o nie uparty Koziorożcu i szanuj, jeśli masz je w porządku. Przy najlżejszym łamaniu w kościach zwróć się do lekarza, albowiem ludzie spod Twojego znaku skłonni są do chorób reumatycznych. Także płucnych i w związku z tym natychmiast rzuć palenie, jeśli jeszcze tego nie zrobiłeś. Poczuj się wtedy, jak wielką rozkoszą może być oddychanie, bez zaciągania się papierosowym dymem. Nie przelebiaj się! Koziorożce mają przeważnie słabe uzębienie, więc przypomnij sobie adres stomatologa i umów się na profilaktyczną kontrolę.

Seks nie jest dla Ciebie sprawą najważniejszą. Za to ważne jest dla Ciebie, czy w nadchodzącym roku osiągniesz kolejny sukces. Otoż tak, ponieważ, rok 1988 będzie dla Koziorożców lepszy niż był 1987. Szczęśliwy dzień poniedziałek, liczba — 6.



Wodnik

21 stycznia — 19 lutego
Planeta Uran, żywioł Powietrze

JAKI JESTES?

Niekonwencjonalny, oryginalny, szanujący cudze poglądy i tolerancyjny nawet dla ludzkich spraw i kłopotów. Masz poczucie braterstwa. Lubisz podróże, poznawanie nowych miejsc i przypatrywanie się życiu. Ale jesteś też niepraktyczny i niezadany, a Twoje najbliższe otoczenie uważa, że brakuje Ci realizmu. Nie najlepszą Twoją cechą jest niestałość w miłości. Jesteś typowym motylem, który najchętniej przelatujesz sobie z kwiatka na kwiatek. Prawda, że nie można na Tobie polegać w drobniostkach. Jednak przyjaźnie, zwłaszcza zawarte we wczesnej młodości, utrzymujesz przez długie lata. Jesteś uzdolniony w wielu gałęziach nauki i sztuki. Interesuje Cię elektronika, psychologia, socjologia, poezja. Czasem majsterkujesz, np. naprawiasz radio lub zegarek, czasem namiętnie kolekcjonujesz znaczki, książki lub zegary.

Pod znakiem Wodnika urodzili się m.in.: Franciszek Schubert, Wiesław Ochman, Jerzy Kawalerowicz, Czesław Niemen, Anna German, Sława Przybylska, Wanda Rutkiewicz oraz redaktorzy „Nadodrza” Janusz Koniusz i Ryszard Rowiński.

CO JEST NAJWAŻNIEJSZE?

Jasne, że zdrowie. Masz słaby system nerwowy, więc nie przeciążaj się i śpij co najmniej 7-8 godzin na dobę. Masz trudności z zasnianiem? Wypij wieczorem filiżankę naparu z melisy. Boli Cię głowa? Nie tykaj prochów, lecz ubierz się ciepło i idź na spacer, do lasu lub parku. Każdy Wodnik powinien szczególnie dbać o wszystkie organa mieszczące się w głowie — oczy, nos, zatoki, a także o gruczoły chłonne. Namawiam Cię z całą życzliwością, abyś — jeśli palisz papierosy, od Nowego Roku rzucił palenie! Poprawisz sobie krążenie, a w związku z tym również samopoczucie.

Ważny jest dla Ciebie seks, więc może Cię ucieszy zapowiedź malej, ale pięknej przystęgi. Szczęśliwy dzień wtorek, liczba 33.



Ryby

20 lutego — 20 marca
Planeta Neptun, żywioł Woda

JAKIE JESTESCIE?

Wrażliwe, subtelne oraz delikatne w obcowaniu z ludźmi. Macie niezwykłą intuicję, która wielokrotnie pomogła Wam w trudnych momentach. Zawsze umiecie trafnie dokonać wyboru. Potraficie być nadzwyczaj czule i tklive, ale niestety rzadko świat to docenia. To też nieobce są Wam uczucia rozczarowania i goryczy. Trafnie dokonany wybór wymaga długiego zastanowienia się, dlatego ludzie mówią, że brak Wam zdecydowania, co nie jest prawdą. Wasza miłość do świata sprawia, że lubicie zajmować się ludźmi biednymi lub chorymi. Z wielkiej, nie zawsze zaspokojonej potrzeby czułości, wpadacie niekiedy w nerwice. Bywacie czasem przesadnie skromne i wydajecie się być przeświadczeni o własnej niedoskonałości. Tymczasem w głębi duszy pragniecie pochwał i dowodów akceptacji.

Pod znakiem Ryb urodzili się m.in.: Albert Einstein, Jan Wyka, Jan S. Bach, Fryderyk Chopin, Konstanty A. Kulka, Andrzej Wałda, Jerzy Szajna, Mira Zimińska, Daniel Olsbrychski.

CO JEST NAJWAŻNIEJSZE?

A cóżby, jak nie zdrowie. Więc weźcie się w garść drogie Ryby i idźcie wprost do lekarza, zmierzcie sobie ciśnienie, zróbcie OB i morfologię. Jak wszyscy urodzeni pod znakami wodnymi, tak i Wy macie skłonność do przeziębienia, katarów, „strzykania” w łokciach i kolanach. Zwróćcie uwagę na stopy: czy nie mają lekkiego obrzęku w okolicach kostek? Opuchlizna taka nakazywałaby złożenie wizyty neurologowi i kardiologowi. Ubierajcie się ciepło tej zimy sprawcie też sobie jakieś nakrycie głowy (Ryby w kapeluszach — coś to będzie za widok!) Wasz horoskop wskazuje, że jednym z najsłabszych organów są u Was nerki. Wstrzegajcie się ostrożeń przypraw, potraw z octem i alkoholu. Rzućcie palenie papierosów.

Czeka Was w tym roku niemiłe zdarzenie, którego nie da się uniknąć, jednak umiejętne podejście pomoże uniknąć szeregu kłopotów. Ale nie martwcie się na zapas, tylko pilnie uważajcie. Dobry dzień piątek, liczba 8.



Baran

21 marca — 20 kwietnia
Planeta Mars, żywioł Ogień

JAKI JESTES?

Odważny, aktywny, szybki, zdecydowany. Znany jesteś w środowisku ze swych działań. Cechuje Cię pogoda ducha. Łatwo się uśmiechasz, zwłaszcza, gdy ktoś opowiada dowcipy lub opowiadasz je Ty sam. Jeśli zapalisz się do jakiegoś pomysłu, nie spoczniesz, nim go nie zrealizujesz. Twoje postępowanie wskazuje zawsze na szczerość intencji, ponieważ umiesz odpowiednio się zaprezentować. Zawsze jesteś lubiany, jeśli chcesz. Ale masz również negatywy: to przede wszystkim wielka niecierpliwość i brak umiaru. W przeciwieństwie do Ryb brakuje Ci subtelności. Ciekawe, że często celowo i świadomie zachowujesz się rubasznie i niegrzecznie. Zazwyczaj jesteś dobrym erudyta, zaś jeśli chodzi o zainteresowania, to wybierasz najczęściej nauczanie, wychowanie, sport, rzadziej dziedzinę sztuki.

Pod znakiem Barana urodzili się m.in.: Joseph Haydn, Józef Cyrankiewicz, Charlie Chaplin, Richard Chamberlain, Wojciech Zukrowski, Wojciech Młynarski, Marian Podkowiński, a z redakcji „Nadodrza” Michał Horowicz.

CO JEST NAJWAŻNIEJSZE?

Powiedział Jan Kochanowski z Czarnolasu: „Szlachetne zdrowie, nikt się nie dowie, jako smakujesz, aż się zepsujesz”. Zapamiętaj sobie tę prawdę, Baranie, i zrozum wreszcie, że sposób w jaki żyjesz prowadzi do zawału! Twoje obciążone serce nie wytrzyma i któregoś dnia... Zeby do tego nie dopuścić — po pierwsze przestań palić papierosy, po drugie unikaj alkoholu, po trzecie zwolnij tempo życia. Weź urlop zimą i pojedź sobie gdzieś daleko, może w góry. Każdego ranka rób sobie plan zajęć, po czym te niekoniecznie potrzebne punkty, poskreślaj. Ludowe przysłowie mówi, że nie można trzymać równocześnie kilku srok za ogony. Postaraj się też rzucić kilka nadprogramowych kilogramów wagi: dotyczy to prawdopodobnie większości Baranów.

Rok 1988 nie będzie zbyt sympatyczny dla Was. Będzie trudnym okresem, w którym najlepszym dniem wydaje się poniedziałek, najlepszą liczbą 45.



Byk

21 kwietnia — 20 maja
Planeta Wenus, żywioł Ziemia

JAKI JESTES?

Cierpliwy, spokojny, łagodny. Konsekwentny w działaniu i współpracy z innymi ludźmi. Masz w sobie coś, co można nazwać „harmonią współistnienia”, która nie przeszkadza Ci w podejmowaniu stanowczych i szybkich decyzji. Nadajesz się, podobnie jak Baran na stanowiska kierownicze. W bliższym współżyciu wykazujesz jednak takie wady, jak skąpstwo, upór i zaborczość. Wobec kogoś, kto Ci nadepnie na nogę, potrafisz być złośliwy i podstępny. Masz więc jak gdyby dwa oblicza, co niektórym, zwłaszcza kobietom, wydaje się fascynujące. Zainteresowania często koncentrujesz na pracach naukowych i badawczych, czasem na sztuce.

Pod znakiem Byka urodzili się m.in.: Piotr Czakowski, Jan Brahms, Sergiusz Prokofiew, Henryk Sienkiewicz, Salvatore Dali, Kazimierz Dejmek, Jan Englert, Władysław Hasior, Tino Rossi, Jerzy Waldorff, a z redakcji „Nadodrza” Zenon Łukasiewicz.

CO JEST NAJWAŻNIEJSZE?

Najważniejsze jest dla człowieka zdrowie, o czym Ty, Byku, nie zawsze pamiętasz. Prowadzisz tryb życia sprzyjający chorobom dróg oddechowych. Palisz papierosy, a nie powinienes, przesiadujesz w niewywietrzonej sypialni — a nie powinienes. Gdy Ci ktoś zaproponuje spacer, odmawiasz tłumacząc się brakiem czasu. Postanów sobie, że od Nowego Roku koniec z papierosami i alkoholem, potem przeczytaj sobie kilka razy pierwsze zdanie tego horoskopu i staraj się być właśnie taki każdego dnia, w każdej sytuacji. Byki mówią dużo i głośno, więc chorują często na struny głosowe i gardło. Niewiele potrzeba, aby chorobom tym zapobiec. Popraw sobie Byku, nadwężony system nerwowy i krążenie, według wskazówek lekarza. Zamiast kawy pij herbatę ziołową, spróbuj, jest smaczna i pachnąca.

Rok dla Byków zapowiada się dobrze. Niezamężnym i nieznanym wroży małżeństwo. Szczęśliwy dzień sobota, liczba 7.



Bliźnięta

21 maja — 21 czerwca
Planeta Merkury, żywioł Powietrze

JAKIE JESTESCIE?

Obiektywne, miłe, lubiane. Zachowujecie się w sposób bardzo komunikatywny. Łatwo nawiązujecie znajomości. Jesteście ciekawe ludzi i świata, w związku z czym uwielbiacie podróże, niekoniecznie dalekie. Jesteście też ciekawe wszelkich nowinek, na które natychmiast reagujecie. Np. nowinki w modzie są przez Was szybko wychwytywane. Kobiety spod tego znaku zazwyczaj słyną z elegancji. Ale też potraficie być bardzo uparte i konserwatywne. Tak zawsze wrażliwe na nowości, czasem zachowujecie się odwrotnie i okazujecie konserwatyzm. Bliźnięta bywają skąpe, zarówno w wydawaniu pieniędzy, jak i w wyrażaniu opinii na konkretne tematy. Zapytane o zdanie — milczą, aby za chwilę odwrócić się i zadziałać tak, jak się tego nikt nie spodziewa.

Pod znakiem Bliźniąt urodzili się m.in.: Ryszard Wagner, John F. Kennedy, prof. Aleksander Krawczuk, Adam Hanuszkiewicz, Marilyn Monroe, Piotr Fronczewski, Charles Aznavour, Mieczysław Fogg, Violetta Villas, a z redakcji „Nadodrza” Alfred Siatecki.

CO JEST NAJWAŻNIEJSZE?

Otoż najważniejsze jest Wasze zdrowie, kochane Bliźnięta! Jest zima, a Wy lekkomyślnie pewnie paradowacie z odkrytymi głowami i rano wychodzicie do domu bez ciepłego śniadania. Przychodźcie do pracy i zapalacie papierosa, a na zle samopoczucie macie jedno lekarstwo: kawę. Podobnie jak Byk, również i Wy macie skłonność do chorób płucnych, ponadto dość szybko ulegacie wszelkim urazom. Wszędzie dym i spaliny, coraz trudniej o czyste powietrze, tak niezbędne dla zdrowia. Zróbcie więc sobie od czasu do czasu małą wycieczkę w plener, w dobrym towarzystwie. Kontrolujcie temperaturę ciała już przy pierwszych oznakach grypowych. Wskazana jest też ostrożność na jezdni, schodach i w czasie podróży. Szczęśliwy dzień niedziela, liczba 10.

Opracowała EWA FOSS

(Ciąg dalszy ze str. 1).

matografii" to zagadnienie reguluje dość drastycznie: art. 58, pkt 1: „Kto bez upoważnienia (...) prowadzi 1) produkcję lub opracowanie filmów, 2) dystrybucję lub rozpowszechnianie filmu — podlega karze pozbawienia wolności do roku, grzywny, albo jednej z tych kar.” Rozpowszechniać wolno tylko te filmy wideo, na które dystrybutor posiada licencję. Wytwórnia „ITI” za kasę zawierającą 116-minutowy film o pielgrzymce Jana Pawła II do Polski żąda 14000 zł, a jeśli klient dostarczy własną kasę — przegranie filmu kosztuje 7000 zł. Ta sama firma sprzedaje kasę z programem Jana Pietrzaka pt. „Panie konirolerze...”, 115 minut projekcji, za 15000 zł, przegranie filmu z Pietrzakiem na kasę klienta wyceniono na 8000 zł. Nie kosztuje film na kasie wideo w zakładzie społecznym — nie wiadomo, gdyż jedyny w Polsce państwowy producent kopii wideo (Wytwórnia Filmów Dokumentalnych w Warszawie) linie technologiczną posiada od niedawna i na razie nie nadaje z zapotrzebowaniem w gotowe kasety przedsiębiorstw rozpowszechniania filmów. W ciągu doby WFD wytwarza zaledwie 90 kopii na kasach wideo, w latach dziewięćdziesiątych — zamierza produkować pół miliona kopii.

Wideozłota zielonogórskiego OPRF-u posiada 96 filmów na 250 kasach przeznaczone do produkcji rodzimej, od „Kazania nych piosenek” po dzieła najnowsze. Prócz tego wypożyczalnia ma kilka filmów zachodnich, wcześniej rozpowszechnianych w kinach. W przyszłym roku

„Film Polski” zamierza zakupić kilkadziesiąt licencji filmów wideo produkcyjnych zachodnich, choć na pewno nie będą to, na które jest największe zapotrzebowanie. Z usług zielonogórskiej wypożyczalni OPRF mogą korzystać tylko i wyłącznie instytucje społeczne, a więc szkoły, kluby i domy kultury, biblioteki. Koszt wypożyczenia kasety wynosi 1500 — 3000 zł na dobę. W przyszłym roku OPRF zamierza uruchomić wypożyczalnię publiczną. Warunki wypożyczania dla instytucji się nie zmieniają; użytkownik prywatnego magnetowidu będzie płać 500 zł za kasę wypożyczoną na dobę oraz dawać na zastaw czystą kasę. Zagrozi to istnieniu prywatnych wypożyczalni, których w Zielonej Górze jest kilka i które działają nielegalnie.

Program rozwoju techniki wideo w Polsce zakłada, że do końca obecnej dekady będzie on techniką uzupełniającą w rozpowszechnianiu filmów, a w latach dziewięćdziesiątych — dominującą. Do tego czasu OPRF zakupi sprzęt i zgromadzi znaczną ilość kas. Obecnie w imieniu OPRF-u filmy wideo wyświetla agencja, czyli osoby posiadające prywatne magnetowidy. Wypożyczają one kasety z OPRF-u, sprzedają bilety o stemplowanej pieczęcią OPRF-u, wysyłają filmy. Agencja dochodami z dzieł się z przedsiębiorstwem, któremu ten interes opłaca się bardziej niż każda inna forma rozpowszechniania filmów. 30 proc. miesięcznych dochodów agencja wpływa do kasy OPRF-u, tzn. 12000-60000 zł. Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego wydał 12 zezwoleń na prowadzenie tego rodzaju działalności. Dwom osobom już odebrano zezwolenia, gdyż wyświetlały filmy nie te, które znajdowały się w wypożyczalni OPRF-u.

Półki przedsiębiorstwo nie zakupi dostatecznej ilości profesjonalnego sprzętu wideo, będzie korzystać z usług agentów, co jest dla obu stron bardzo korzystne. W przyszłości OPRF będzie powoływać małe kina w już istniejących pomieszczeniach. Zakłada się, że koszty ich utrzymania będą bardzo niskie, gdyż bileterem i operatorem może być jedna osoba, nie posiadająca wysokich kwalifikacji. W pierwszej kolejności takie kina powstaną w Nowej Soli i Żarach, a będą działały przy już istniejących kinach stałych. Do 1990 roku w województwie zielonogórskim powinno być około 10 wideoklubów i wideokin. W tej chwili jest jeden taki klub — „Bierozka” w Zielonej Górze. Projekcje odbywają się 2-3 razy dziennie, sala prawie zawsze jest zapelniona, choć klubowi daleko jest do doskonałości. Przede wszystkim brak jest atrakcyjnych filmów zachodnich. Widzowie siedzą w fotelach przy stolikach, jak w kawiarni, a nie mogą wypić nawet herbaty, gdyż nikt nie prowadzi klubowego bufetu. Zastanawiam się, czy przekazanie zielonogórskiej „Bierozki” agentowi nie zadowoliłoby nawet trzech zainteresowanych stron...

ALFRED SIATECKI

Dlaczego tak się dzieje? Wydaje mi się, że współcześni Polacy unikają problemów w sztuce i kulturze, ponieważ mają ich dość w życiu. Całe nasze życie jest wielkim problemem; więc dzieła sztuki zawierające myśli, refleksje, nowe pomysły, problemy — wymagające adumy, rozważania — nie trafiają do ludzi. Ludzie pragną już tylko spokoju, odpoczynku, a ten daje im kultura obrazkowa, wyjąłowa z zaskoczeń. Ludzie są zmęczeni pogonią za dobrami materialnymi; w wolnym czasie pragną nie myśleć, za co chcą płacić każdą cenę. Chyba na tym polega sukces wideo.

AS

roku w konkursach plastycznych, organizowanych przez RSW pod hasłem „Gdybym był pisarzem i malarzem”, zdobywając liczne nagrody i wyróżnienia.

Żywo pracuje społeczna rada klubu pod przewodnictwem Izabeli Haniszewskiej. Inicjuje i realizuje wiele pomysłów. Na przykład to właśnie członkowie społecznej rady wykonali ładne i estetyczne przepiękne z drewna i plastiku, które z sali klubowej uczyniły dwa przytulne pomieszczenia.

W klubie można korzystać z dwóch odbiorników telewizyjnych: do odbioru programu w kolorze oraz czarno-białym, jest radio stereofoniczne i magnetofon. Zaś w czytelni — codziennie bieżąca prasa...

O ile duża aktywnością może pochwalić się miejscowe koło LZS, o tyle ze smutkiem trzeba stwierdzić, iż młodzież starsza, zwłaszcza ta zrzeszona kiedyś w ZMW, jest dziś nieobecna w życiu kulturalnym Lipin. Owszem, młodzi, widzą na dyskotekach, ale to jedynie, co ich przyciąga. Czasem przyjdą na rozrywki szachowe lub warszawowe, czasem zajrzą na prelekcję, zorganizowaną przez Uniwersytet Społeczny TWP, i to w zasadzie wszystko.

Jestem jednak przekonany, że Lipiny wyszły z impasu i nadejdzie czas większego ożywienia pracy klubowej zwłaszcza w długie zimowe wieczory.

ZENON CZARNECKI

Rozstrzygnięcie konkursu na opowiadanie

Na konkurs zorganizowany z okazji 30-lecia „Nadodrza”, przy współpracy oddziału Związku Literatów Polskich i Lubuskiego Komitetu Upowszechniania Prasy, wpłynęło 64 opowiadania z różnych regionów kraju. Jury w składzie: Czesław P. Dutka — przewodniczący oraz Janusz Koniusz, Zenon Łukasiewicz i Krzysztof Pacewicz postanowiło — ze względu na niski poziom literacki nadesłanych tekstów — nie przyznać nagród. Cztery równorzędne wyróżnienia otrzymali: Waldemar Biezanowski z Łodzi, Alfred Siatecki i Romuald Szura z Zielonej Góry oraz Mieczysław J. Warszawski z Łaski Odrzańskich, woj. zielonogórskie.

30 rocznica śmierci

Jana Cichego

18 grudnia 1957 r. zmarł Jan Cichy — „król Polaków” na Babimojszczyźnie. Jego pogrzeb w Nowym Krańsku odbył się na koszt państwa. Jan Cichy urodził się 21 października 1878 r. w Starym Krańsku, w rodzinie chłopskiej. Ożenił się z Weroniką Sikucińską z Nowego Krańska, gdzie stał się właścicielem 15-hektarowego gospodarstwa rolnego. Był jednym z założycieli Towarzystwa Robotników Polskich, członkiem Banku Ludowego, organizatorem Związku Polaków w Niemczech i Związku Polskich Towarzystw Szkolnych, reprezentantem polskiej mniejszości narodowej w ciałach samorządowych. Więziony, przesładowany, nigdy nie wyparł się swojego polskiego pochodzenia. Po wyzwoleniu był sołtysiem w Nowym Krańsku, wójtą w Babimojszczyźnie, radnym, Podcaż Zjazdu Autochtonów Ziemi Lubuskiej w 1946 r. powiedział m.in.: „My tu, przed wojną staliśmy poza Ojczyzną, jak korzenie potężnego drzewa, sięgające poza opłotki gospodarstwa. Żyliśmy jej życiem, a soki wiały nas z sobą jak krew.” W lipcu 1957 r. został wybrany na prezesa honorowego Lubuskiego Towarzystwa Kultury. Niedawno nakładem wydawnictwa LTK w serii „Skarbiec Lubuski” ukazała się praca dr. Wiesława Sautera pt. „Jan Cichy 1878-1957”. LTK wybiło również medal z podobizną J. Cichego.

Sesja numizmatyczna w Nowej Soli

Muzeum w Nowej Soli było organizatorem IX Ogólnopolskiej Sesji Numizmatycznej, podczas której omawiano „Mennictwo miejskie w Polsce”. W czasie obrad referaty wygłosili: m.in.: prof. dr hab. M. Haisig („Moneta miejska na Śląsku”), doc. dr hab. A. Mikolajczyk („Miejska moneta polska w obrotach pieniężnych Rzeczypospolitej”), mgr J. Piniński („Moneta miast Pomorza Zachodniego”). W sesji uczestniczyło blisko 40 naukowców z placówek muzealnych i uczelni całego kraju. A także członkowie Polskiego Towarzystwa Archeologicznego i Numizmatycznego. Z okazji spotkania Muzeum wydało medal według projektu Haliny Kozłowskiej-Bodek, przygotowało wystawę foliarycznych znaków rozliczeniowych Wielkopolski, kilku osobom, szczególnie zasłużonym dla kultury nowosolskiej, przyznało medale wybite z okazji 40-lecia Muzeum. Materiały z sesji ukażą się w odrębnej publikacji.

Sesja bibliotekarska w Zielonej Górze

Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich oraz Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. C. Norwida w Zielonej Górze były organizatorami sesji — „Biblioteka publiczna ośrodkami popularyzacji sztuki i wiedzy o sztuce”. Uczestnicy sesji zapoznali się ze zbiorami Galerii i Wypożyczalni Malarstwa, Rysunku i Grafiki, obejrżeli Galerie Ilustracji Książkowej, wzięli udział w otwarciu wystawy pt. „Książka o sztuce w zbiorach WIMBP w Zielonej Górze”. Podczas sesji wygłoszono siedem referatów, m.in. dr Grzegorz Chmielewski mówił o roli bibliotek publicznych w popularyzowaniu sztuki, dr Franciszek Pilarczyk — o miejscu Biblioteki Głównej WSP w popularyzowaniu sztuki w środowisku akademickim Zielonej Góry, mgr Barbara Rzeckowska — o roli wystaw w propagowaniu sztuki w bibliotekach publicznych Łodzi.

nadodrza

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY — PISMO LUBUSKIEGO TOWARZYSTWA KULTURY

Adres redakcji: 65-007 Zielona Góra, pl. Bohaterów Stalingradu 13, I p. oraz adres dla korespondencji: 65-938 Zielona Góra, skrytka pocztowa nr 40. Telefon: redaktor naczelny i sekretariat 708-33, sekretarz redakcji 39-13 oraz centrala 46-61 do 7. Godziny telefonów wewnętrznych: Telex 0432258. Redaguje zespół: Halina Aolska-Skarbek, Lucyna Grabowska, Leszek Hermanowicz (red. graf. techn.), Michał Horowicz, Janusz Koniusz (red. naczelny), Małgorzata Kowalska-Masło.



Recytatorium '87

W finale XIV Konkursu Recytatorskiego Polskiej Poezji Religijnej i Patriotycznej „Recytatorium '87”, którego organizatorem był Oddział Wojewódzki Stowarzyszenia PAX w Zielonej Górze i Instytut Wydawniczy PAX w Warszawie, spotkało się ponad 35 recytatorów. Jury pod przewodnictwem red. Zbigniewa Irzyka z redakcji tygodnika „Kierunki” nagrodziło przewodniczącego Oddziału Wojewódzkiego Stowarzyszenia PAX przyznało Beacie Skrzypczak z Wolsztyna za najlepszy wybór i interpretację poezji regionalnej. W grupie dorosłych nagrody otrzymali: I — Alicja Pietruszka z Częstochowy, II — Agnieszka Krakowska z Konina, III — Marzena Marucha z Częstochowy. W grupie młodzieżowej (do 19 roku życia) jury nagrodziło: I — Katarzynę Salomon z Częstochowy, II — Ewę Deskur ze Szczecina i III — Agnieszkę Wojtków z Zielonej Góry.

Dni Gorzowa

Dni Gorzowa '88 rozpoczynają się 43 rocznicę powrotu miasta do Macierzy. Przez cztery miesiące będą się tu odbywały imprezy kulturalne, rozrywkowe, przygotowywane przez instytucje i placówki upowszechniania kultury, oświaty, sportu, stowarzyszenia i organizacje społeczne. Finał imprez z okazji Dni Gorzowa zaplanowano na maj 1988 roku. Komitetowi Organizacyjnemu przewodniczy Marcin Balak — wiceprezydent Gorzowa.

„Lamus”

Gorzowski Klub Myśli Twórczej „Lamus” ma swoją siedzibę w odremontowanej kamieniczce przy ul. Sikorskiego 5/3. Czasem odbywają się tam spotkania i imprezy kulturalne, okolicznościowe, a klub jest czynny z przerwami. Od nowego roku „Lamus” będzie prowadził pełną działalność kulturalną i gastronomiczną. Klubem kieruje Rada Programowa, której przewodniczy plastyk Sylwester Kozłowski.

Jubileusz biblioteki

Przed 40 laty powstała Miejska Biblioteka Publiczna w Głogowie. W 1947 roku jej księgozbiór liczył 325 tomów. Obecnie w zbiorach MBP znajduje się 115 tysięcy książek. Z wypożyczalni głównej i trzech filii korzysta 15 tysięcy głogowian. Biblioteka prowadzi dwa oddziały dla dzieci i punkt wypożyczania książek w Domu Dziennego Pobytu. Biblioteka organizuje spotkania z pisarzami i publicystami, urządza wystawy i konkursy, wydaje książki o Głogowie.

Zaprosili nas

Instytut Zachodni w Poznaniu na trzy następnie spotkania dyskusyjne naukowców oraz publicystów radia, telewizji i prasy. W 15 lat po ratyfikacji układu PRL — RFN: Wojewódzki Komitet Jednoczonego Stronnictwa Ludowego w Zielonej Górze i współorganizatorzy na uroczyste podsumowanie obchodów 30-lecia Związku Młodzieży Wiejskiej; Biuro Wystaw Artystycznych w Gorzowie na otwarcie wystawy „Malarstwo NRD — ze zbiorów Galerie Junge Kunst”; Biuro Wystaw Artystycznych w Zielonej Górze na wystawę grafiki i tkanin Agaty Buchalik-Drzewy; Komitet Organizacyjny na XIV Konkurs Bachowski do Filharmonii Zielonogórskiej; Osiedło w Dom Kultury w Żarach na otwarcie pokonkursowej wystawy XI Wojewódzkiego Konkursu Plastycznego i Amatorskiego „Salon Jeleńscy Zary '87”.

Wskazania: Zenon Łukasiewicz (z-ca red. naczelny), Wiesław Nodzyński (sekretarz redakcji), Piotr Piotrowski, Ryszard Rowiński, Alfred Siatecki, Korkuta, Maria Fiedorowicz, Elżbieta Nesterow, sekretariat redakcji, Elżbieta Waleńska, Wydawca: RSW „Prasa-Książka-Ruch”. Zielonogórskie Wydawnictwo Prasowe al. Niepodległości 25 65-042 Zielona Góra skrytka pocztowa 51 Centrala telefoniczna: 46-61 do 57 Dyrektor Zbigniew Pietkiewicz tel. 717-93 Druk: Drukarnia Prasowa ZWP 65-076 Zielona Góra ul. Reja 5. Ogłoszenia przyjmują Biuro Reklam i Ogłoszeń Zielonogórskiego Wydawnictwa Prasowego oraz wszystkie biura ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch” na terenie kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Materiały (teksty i fotowizje) nie zamówionych redakcją nie zwraca. W przypadku wykorzystania nie zamówionych materiałów redakcja zastrzega sobie prawo skrótów i zmian tytułów.

B-20

KLUBOWE WIZYTOWKI

Lipiny

wychodzą z impasu

Budynek, w którym mieści się Klub Prasy i Książki w Lipinach, jest stary, obszerny i... zaniedbany. Szczególnie ośmiesznie wygląda korytarz, którym przechodzi się do pomieszczeń klubowych, biblioteki i sali widowiskowej. Właściciel tego obiektu — Urząd Miasta i Gminy w Nowej Soli — nie najlepiej dba o jego utrzymanie i konserwację. Co prawda, przed kilku laty przeprowadzono tu remont, ale wykonano go w sposób niedbały i tylko w części, do dziś odczuwa się szczególnie wyraźnie, chociażby wtedy, gdy deszcz przecieka przez dach i wilgotnieją sufity klubowych pomieszczeń.

Klub przed laty należał do najbardziej aktywnych na ziemi nowosolskiej. Później odpadł z czołówek, zmniejszyła się aktywność miejscowej społeczności. Dziś, gdy prowadzi go Halina Wodzisławska, można mówić o renesansie wszechstronnej działalności. Od półtora roku jest to młodzieżowy zespół muzyczny, który tworzą: Arkadiusz Zwiabiel, Wiesław Gąsior, Benedykt Halub, Dariusz Kruk i Lech Gębski. Młodzież

korzysta z instrumentów, zakupionych przez Oddział RSW w Nowej Soli, m.in. z organów, gitar, perkusji i sprzętu nagłośniowego. Ta uzdolniona muzyka młodzież odbywa systematyczne próby w niewielkim pomocniczym pomieszczeniu klubowym bądź też w sali widowiskowej.

Ostatnio Halina Wodzisławska zorganizowała amatorski teatrzyk dziecięcy, do którego należy dziesięć osób: Dorota Jaroń, Izabela Haniszewska, Mariusz Piotrowski, Adam i Mariusz Banaszkowie, Katarzyna Seliga, Agnieszka Dubec, Agnieszka Hajder, Edyta Skomorowska i Paulina Wojtaszek. Zespół prowadzi z podnóży klubu. I choć nie udało się dotychczas zatrudnić w Lipinach animatora kultury, młodociani aktorzy nieźle sobie radzą, wystawiając z powodzeniem przygotowane przez siebie przedstawienie pt. „Jaś i Małgosia”.

Od kilku lat działa natomiast dziecięca sekcja plastyczna. Prace powstające w dziecięcej wyobraźni są eksponowane na specjalnych wystawach. Członkowie tej sekcji ponadto uczestniczą co



Nakładem Dyrekcji Okręgu Poczty i Telekomunikacji w Poznaniu wydane zostały dwa zeszyty „Zarysu historii poczty i 100 lat telefonów” w Poznańskim Okręgu Poczty i Telekomunikacji. Jest to wydawnictwo przeznaczone do użytku służbowego. Zespół autorów wywodzący się spośród pracowników DOPiT, któremu przewodniczył Antoni Karwacki zadał sobie trud zebrania materiałów obrazujących zarówno przeszłość jak i teraźniejszość funkcjonowania poczty w tym regionie kraju obejmującym 7 województw, w których mieszka ponad 4 mln mieszkańców.

Całość materiałów składa się z dzie więciu części. Pierwsza, w pięciu rozdziałach omawia początki telekomunikacji w Poznaniu, okres dwudziestolecia międzywojennego, okupacji, a następnie rozbudowę w latach 1945—1985 i kończy kierunkami rozwoju telekomunikacji elektronicznej. Część druga omawia historię poczty w Wielkopolsce. Następna wybrane fragmenty dziejów poczty pruskiej w latach 1772—1919. Część czwarta poświęcona jest poczcie wielkopolskiej w latach 1918—39, piąta obejmuje lata 1939—1945. W części szóstej

dotyczącej powojennej odbudowy i rozbudowy łączności w rozdziale VI autorzy omawiają przebieg procesów integracyjnych na Ziemi Lubuskiej. Część 7 dotyczy społeczno-politycznej i kulturalnej działalności łącznościowców, część 8 historii poczty poznańskich w związku z filatelistyką, a część 9 obejmuje współczesność i perspektywy rozwoju poczty i telekomunikacji. Oczywiście kalendarium ważniejszych wydarzeń, wykaz źródeł i wykorzystanej literatury, a także indeks nazwisk zamknięty na ponad 400 stronnicowej oprawie.

W krótkiej notce recenzyjnej trudno byłoby omówić wszystkie pozytywne i braki tego wydawnictwa. Niewątpliwym osiągnięciem jest zebranie bardzo bogatego materiału faktograficznego, na tomiast raz brak selekcji faktów i faktów, nieporadność w posługiwaniu się nazwiskami tak polskimi jak i obcymi, brak imion i to bez żadnych wyjaśnień. Najwięcej uwag nasuwa rozdział dotyczący Ziemi Lubuskiej. Tutaj autorzy nie mogli się zdecydować, czy obecny stan posiadania należy odnieść do nieodległej przeszłości, czy tylko

Zarys historii poczty

ograniczyć się do fragmentu obejmującego w latach 1945—1946 trzynastą ówczesnych powiatów. Kto nie zna dobrze powojennych przemian organizacji administracji na ziemiach zachodnich i północnych niewiele się dowie o tym jakże ciekawym wycinku historii repolonizacji poczty na Środkowym Nadodrzu. Również rozdział pruskiego zarządu pocztą ograniczony do Wielkopolski zupełnie pomija województwa: zielonogórskie, gorzowskie, pilskie. Myślę, że dobrze byłoby, gdyby Dyrekcja Okręgu Poczty i Telekomunikacji zleciła pracownikom naukowym podjęcie prac monograficznych nad organizacją poczty w poszczególnych województwach. Zrodziłaby się wtedy usystematyzowana historia poczty tego regionu, materiał który dobrze służyłby kształceniu młodych kadr pocztowców. W wykazie źródeł wykorzystanej literatury brak jest słów korzystania z materiałów archiwalnych choćby zespołów akt Urzędu Wojewódzkiego w Poznaniu. To, że w źródłach drukowanych (czasopiśmie) nie było „Nadodrza”, które publikowało przyczynkarskie notatki do powojennej historii poczty na Środkowym Nadodrzu, jest dla mnie niezrozumiałe, skoro wymienia się inne pisma.

M. SŁAWOMIR

PeSTAWY

W eksperymentalnym przedszkolu działającym pod patronatem Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego postanowiono zlać byka za rogi. Tematem kolejnej sesji naukowej stała się reforma gospodarcza. Wszyscy zgodzili się z zasadniczą tezą głównego referenta, że tak dalej być nie może. Wszystkie inne tezy odrzucono. Osiągnięcie konsensusu, poza zgodą na stwierdzenie, że tak dalej być nie może, okazało się być niemożliwe. Korespondent „Neue Zürcher Zeitung” odniósł jednak szereg pozytywnych wniosków, które odnotował obiektywnie w swoim magnetofonie.

Maly Kazio, człowiek w przedszkolu nowy, syn chłopca zatrudnionego na etacie dozorczy, wygłosił komunikat naukowy o tym, że jego rodzina po wszechstronnej analizie rzeczywistości, nie mogąc zrezygnować z ambicji posiadania trójkolorowego roweru, postanowiła jednogłośnie wytestować kotka. Kotek pije mleko. Jest nierentowny, ponieważ w mieszkaniu dozorczy i tak nie ma jeszcze myszy.

Komunikat Franka był podobny. Ta rodzina położyła na ołtarzu reformy pieska imieniem Azor. Bydło i regulaminy, mięso wołowe a z braku takiego, podgrzała nogę od nowego fotela zakupionego w Swarzędzu. Na mieście Azora postawił się psa — a trape. Pies mechaniczny nie będzie merdał ogonem, ale nie będzie też gapił się w stronę michy z kartkową wolowina. Hau! hau!!! nagra się na magnetofonie.

Ołtarz reformy

— Rodzina Idziego — odnotował Szwajcar — ma kolorowy telewizor, pralkę automatyczną, zamrażarkę, robot kuchenny, maszynę do zmywania naczyń i cały szereg innych luksusowych dóbr. Korespondent „Neue Zürcher Zeitung” zdumiał się skalą wyzroczenia tej rodziny. Autor komunikatu, chłopczyk imieniem Idzi, zadeklarował wyzroczenie się mamą! Na jej miejsce można wynająć na ryczałt, co będzie tańsze, dziewczynę ze spółdzielni studenckiej. Raz w tygodniu odkurzy filikusa i podleje resztę kwiatów. Przez pania wychowawczą korespondent szaty zapytał Idziego co na to mama? Co na to tata, Idzi odparł, że mama przez cały czas narzekała, iż rodzina jest jej kula u nogi, teraz, jako osoba wolna, może nareszcie poświęcić się prawdziwemu powołaniu, jakim jest pianistyka jazzowa. Decyzja rodziny powinna być jej jak najbardziej na rękę, Tata z kolei miał początkowe opory, których przyczyną tkwiła w emocjach, w prymitywnym sentymentalizmie... Oszczędność ciowy imperatyw przekonał ojca do wyalesowania mamy, zwłaszcza, że jego życie zostanie wzbogacone o zwiedzenie wystawy rysunków Mleczki w BWA, zakup odpowiedniego kalendarza na rok 1983, prenumeratę jednej strony NADODRZA, ewentualnie usługi dochodzącej studentki.

Zbudowany dyskusja w eksperymentalnym przedszkolu zagraniczny korespondent już układał zdania tekstu —

„Niespodziewane poparcie dla minia” Urbana. Polacy trzeźwo patrzą na rzeczywistość. W imię poprawy swego losu gotowi są zrobić kolejne dziurki w pasku od spodni. Będą budowali kopalnie. Nasz kraj nie będzie miał kłopotów z kupowaniem polskiego węgla. Obiektywny cudzoziemiec, dla spokoju sumienia, podszedł do mniejszości, która raczej biernie uczestniczyła w pracach sesji naukowej. W imieniu milczącej mniejszości wypowiedział się okularnik Jurek N.

Odbył się następujący dialog.
— Interesuje was temat sesji?
— Bardzo proszę pana.
— Więc dlaczego nie zabieraliście głosu?

— Bo nam to wszystko głęboko zżysa.
— Liczcie na to, że będzie lepiej?
— Liczymy. Bo gorzej już być nie może.

— Rozumiem. Stąd płynie wasz głęboki optymizm.
— Nie tylko z tego, proszę pana. Reforma gospodarcza jest odpowiedzią ca-
— go świata na wyzwanie rzeczywistości. Mam nadzieję, że również ekono-
— miści szwajcarscy wezmą w tym wy-
— zwanie udział.

Człowiek „Neue Zürcher Zeitung” wsiadając do swego samochodu ze smutkiem myślał, że jego ojczyzna jest piękna i bogatym krajem.

RYSZARD ROWIŃSKI

okoliczności

Niedawny Kongres Ekonomistów Polskich kreował tę grupę zawodową do miana „lekarzy gospodarki”. Niektórzy z uczestników Kongresu tak zapamiętali szermowali tym uczniowskim terminem, że zauważyli to nawet popularny magazyn telewizyjny „Czas”. Trzeba jednak powiedzieć, że miano ekonomisty, „lekarza — reformatora” pojawiło się już wcześniej w jednej z wieczornych audycji Dyrekcji Programów Informacyjnych.

Do grona reformatorów, odnowicieli, zwolenników scentralizowanego mechanizmu... przyszyła więc nowa grupa „lekarzy — uzdrowicieli”.

Obok „lekarzy gospodarki” są zapewne i inne grupy pretendujące do tego miana: lekarze maszyn i butów, leka-

rze uzdrowiciele — krawcy, blacharze samochodowi, są też lekarze krzewów i roślin — nie wspominając już o weterynarzach i lekarzach prawdziwych.

Czyżby więc pojawiło się nowe świadectwo Hipokratesa? Lekarze, jak okiem sięgnąć, od księgowości po wydziały planowania. Od kantorów bankowych po instytuty. Dostę, więcej skromności, wystarczy, jak powiedziałby XIX-wieczny felietonista „wiem, że Ci moralny cawac trzeba tyżeczka od kawy, całej flaszeczki na razie nie zniesiesz”.

Tymczasem życie dostarcza nowych przykładów. Oto zlikwidowane już Ministerstwo Górnictwa i Energetyki po-zostawiło swoim następczyniom — wspólnotom „Energetyka” i „Węgiel...”

— sztabowo-wojskowy system organizacji kadr. Polega on na nadawaniu pracownikom tytułów: aspirant, technik, inżynier, Promocja, uroczysta munda, orkiestra, sztywne czapki, beretki, gustowne spodniczki, mundur a la orkiestra, fanfary, uścisk dłoni, dystrykcje, pismo w sztywnym etui, (du-że) i tytuł w kieszeni — inżynier.

Dla umacniania więzi nowo promowa-nych zastanowić się należy nad nowymi formami zrzeszania się. Czyż bowiem wiek XX nie jest słusznie nazywany wiekiem stowarzyszeń, do których wszyscy należą — oprócz nas sta-rych kawalerów.

JERZY MENDYK

Wiek stowarzyszeń

nadodrze

ROZRYWKI UMYSŁOWE

INTER- PRETA- TOR	KIERUJE DZWI- GIEM	MIASTO W BRAZYLII GRAMO- CZYSTECZ.	GRANICZ Y ANGOLA, ZAMBIA, BOTSWANA I RPA	LUSTRO	BRZEG STOLICA ALBANII	KUZYŃKA INNY
BADACZ ARKTY- KI						SZYNY KRAJOW- NIK
DZIAŁ TE- MECHAN- W ZODIARU	MARCEL MARCEAU ZACMA			TERMIN KARCZY CHRYJA		
		LEKARZ Z SERIALU TV CZĘŚĆ KOLUMNY				
FRANCUSKI REŻYSER I AKTOR FILMOWY			EGIPSKI BOG SEONCA		PAPUGA	
				10 M ² DOPĘT JENISEJU		
BIGOS			DBA O FISKLETA	REPRESJA DUZO GRUSZ		
CIOS						WINO Z RYZU
WĄŻ Z KSIĘGI DZUNGILI R. KIP- LINGA TEO. POD- STAWA	ZONA ALEK- SANDRA WIELKIE- GO			PRZYNE- CANIE	MAŁY LAS	
		SMIAŁOŚĆ				
ZBIOR- NIK NA BENZYNIE LUB ROPE	NATARCIE	BREDNIE		NAPÓJ ALKOHOL		

KRZYŻÓWKA PANORAMICZNA
Oprac. W. PIŻEWICZ

Za bezbłędne rozwiązanie krzyżówki
rozlosujemy nagrodę książkową wartości

1.400 zł. Rozwiązania można nadsyłać w
terminie 14 dni od daty ukazania się

numeru; na kopercie prosimy nakle-
zamieszczony obok kupon.

Rozwiązanie wirówki panoramicznej
z nr 24:

Kotlet, natura, wariat, kordon, ka-
ton, sernik, kreska, koszyk, sterta, wer-
sał, tyczka, moczar, porter, Norweg, szor-
ty, monteter, poklon, jeżyna, mentor,
barióg, atrapa, errata, armata.

Nagrodę książkową wylosowały Bar-
bara i Danuta Wiązek, Cieplicko-
74-255 Trzcińsko-Zdrój. Gratulujemy.



MaRGINAŁKI

ANDRZEJ DRAWICZ W MOSKWIE. Znany rusycysta, związany z polską tzw. opozycją, wyjechał do Moskwy i w „Tygodniku Powszechnym” (nr 50) publikuje już drugi odcinek swoich „Radzieckich konfrontacji”. Wśród wielu scenek obyczajowych, autor opisuje konflikt, jaki na Arbacie zaistniał pomiędzy artystą — malarzem, sprzedającym swoje dzieła w miejscu niedozwolonym, a milicjantem. „Patrz z podziwem na milicjanta: jest ucielonym taktem i opanowaniem” — pisze autor. Jego rozmówca wyjaś-
nia: „...był to z pewnością oficer, tyle że w podoficerskim mundurze...”. Ot, i mamy gotowy komentarz. W stylu „TP”.

KOEGZYSTENCJA. Piotr Adameczyk we wrocławskim tygodniku „Sprawy i Ludzie” (nr 49) tak oto rozpoczyna swój re-
portaż pt. „Spisek na chórze”. „Kiedys, wspomina solista, mieszkał na plebanii ze kretarzem partii. Mieszkali też inni. Na do-
le był bar. Wódkę pili, kobiety rozbie-
rały i wstyd przynosiły”. A obok stał ko-
ściółek, gdzie wszyscy później po roz-
grzeszeniu chodzili.

PRZYSPOBIENIE DO ŻYCIA W RO-
DZINIE. Pod takim tytułem ukazał się pod-
ręcznik szkolny, następnie decyzją
ministra edukacji narodowej wycofany.
Pisany o tym na innym miejscu tego
numeru. Natomiast warto przytoczyć
słowa Wacława Majbajna z 49 numeru
„Spraw i Ludzi”, pomieszczone w artyku-
le „Zastępczy spór”. „Podręcznik, o któ-
rym mowa, wywołał historyczne reak-
cje prasy katolickiej (...). Świecki nau-
czyciel, który informuje chłopca, w jak-
i sposób ma pięścić dziewczynę, traktow-
any być musi jako konkurent księdza
katechety”. No, tak. Teraz już wiado-
mo, skąd ten cały spór. Szkoda, że nie
mamy współczesnego Boya.

POLITYKA I EROTYKA. W 23 odcinku
swych wspomnień pt. „Ażyl polityczny”
„Rzeczywistość” (nr 51) Alicja Lisiecka
pisze o swoich zdarzeniach sylwestrowych.
Wpiewa marzenia: „Marzenia syl-
westrowe w Monachium: zjeść duży kot-
let i pójść spać. W czystym łóżku. Zupie-
nie samotnie. Zasnąć, obudzić się w in-
nym miejscu. W Janowcu, w Oborach. W
Astorii. Nie potrzebowałam neuro-
loga ani psychoanalityka. Potrzebowa-

łam mieszkania. I jednego domu, jednej
polskiej kobiety, która rozumiałaby co
do niej mówię...”. To były marzenia. A
rzeczywistość 1952 roku? Alicja Lisiecka
wyznaje: „Równie koszmarny sylwest-
ster przydarzył mi się tylko w roku
1952. Byłam bardzo młodą dziewczyną,
a raczej „kobietą”, tuż po rozstaniu się
z mężem, najprzystojniejszym chłopcem
wśród braci moich kolegów szkolnych.
Z nim miałam kiedyś „choinkę” — Bo-
że Narodzenie pomaturalne. Pierwszy po
całunek dawnego diabła w furazercie,
od lektur egzystencjalistycznych...”. I da-
lej: „Sylwestra 1952 r. opisuje satyrycz-
nie w swoich rozmowach starsza pani
Kulegowska-Słomińska z Paryża, ta od
„funduszu niezależnych”. Dziś, kiedy
jestem stara, zupełnie mi to zobojeźnia-
ło. Był ów opis przez całe lata jej nu-
merem popisowym. Poznałam wówczas
w domu fińskim, mojego późniejszego
profesora i promotora, Stefana Zółkiew-
skiego, w którym zakochałam się od pier-
wszego wejrzenia, a raczej rozmowy. Nie
stety, Zółkiewski miał żonę, piękną da-
mę o rysach łasiczki, reżyserkę Barbarę
Borman. Miał też córkę, małą wówczas
Dorotkę. Ja przybyłam na ową pamięt-
ną zabawę w towarzystwie Jagody i Mi-
chala Bristigerów oraz b. prokuratora,
Edmunda Kujawskiego, ich znajomego,
którego postać wspominam z obrzydze-
niem.

Pan ten, po wystawieniu się przeze
mnie pierwszymi kieliszkami na pusty
żoładek (...) — zapląkał mi, wraz z
proszkami nasennymi pani domu — ja-
żdę do swojego mieszkania na Elektro-
nalną. Obudziłam się w nim sama, oko-
ło godziny trzeciej nad ranem, nie wie-
dząc gdzie jestem, zarzygana do obrzyd-
liwej...”. Dziewięć i panny dojrzałe,
mężatki i rozwódki — strzeżcie się ta-
kich Sylwestrów!

CO SIĘ KOMU PODOBA. W nowej ru-
bryce „Za szkłem” („Polityka” nr 48) —
wypowiedzi znanych ludzi o programie
telewizyjnym. Scenarzysta Jerzy Janicki
mówi: „W ubiegłym tygodniu podobał
mi się Grzegorz Łasota, ponieważ w
swoim cyklu „Gdzie są taśmy z tam-
tych lat”, przypominał film, do którego
mu kiedyś z rozpedu napisałem scenar-
iusz...”. Każda sroka swój ogon chwali.
PASSENT ODSŁANIA SIĘ. W tym sa-
mym n-rze „Polityki” Daniel Passent w
felietonie „Mój maleńki koreferat” pi-
sze m.in.: „Zadaniem uwiłowi, który mnie
wychowywał, pytanie: kto ma większą
kulturę — Niemcy czy Anglicy? Wui,
który był komunistą i chyba nie byłby
zadowolony, gdyby zobaczył, że nie po-

szedłem w jego ślady...”. Jakże inne śla-
dy wybrał Passent?

PEDAGOGICZNY SZPAGAT. Pod ta-
kim tytułem „Przegląd Tygodniowy” (nr
50) publikuje reportaż Zbigniewa Talar-
czyka o pewnej szkole baletowej: „U-
czennice opowiadają, że pan, aby zmu-
sić je do wyższego podniesienia nogi,
przybiła od spodu zapalniczkę...”. Ten
pan zapewne jeszcze za cara w podobny
sposób uczył tańczyć niedźwiedzie w
słynnej akademii smorgońskiej. Cóż za-
tem się dzieje?

WSPÓLNY MIANOWNIK. Marek Ko-
tański w „Polityce” (nr 49) oświadczył:
„Piętnasto jest niestety wspólnym mia-
nownikiem wszelkich środowisk, bez
względu na podziały klasowe, warstwo-
we czy polityczne. Łączy katolików i
marksistów, administrację i petentów,
robotników i inteligencję, partyjnych i
opozycję polityczną...”. Wreszcie mamy
platformę pojednania narodowego! Stuk
nijmy się więc kieliszkami.

GALERIA I KOLEKCJA. W 2 tegorocz-
nym numerze „Sztuki” znajdujemy re-
lację z nowej galerii Zenona Polusa,
powstającej w Lubuskim Muzeum Wojs-
kowym w Drzonowie. Autorka Mira
Szczegół pisze m.in.: „Polus tworzy
swoją kolekcję dostojnie: „biera” w
okolicy porzucone złomowe destrukty i
konstruuje z nich przedmioty — „zabaw-
ki” dla dorosłych”. A wcześniej czyta-
my: „Pozostałego twórcywa dostarczył
artyście pozostawiony bałagan po budo-
wie osiedla, na którym mieszka”. Zwa-
żywszy, iż na każdym zielonogórskim
osiedlu jest spory bałagan — cieszymy
się, że tworzywa starczy na wiele, wie-
le lat tworzenia galerii — kolekcji.

METAMORFOZY, DROZDOWSKI I
TESCIOWA. W tym samym n-rze ty-
godnika „Sprawy i Ludzie” już 59 odcie-
nek obrachunków Bohdana Drozdowskie-
go, tym razem poświęcony metamorfo-
zom, jakie przechodzą Polacy. Autor po-
wołuje się na Stendhala, który „był zda-
nia, że „państwu i władcy może służyć
ca oparcie to tylko, co mu się zdalne
przechowało” i że „ciała przedstaw-
ielskie nie okazujące sprzeciwu, kiedy
to jest niezbędne, w gruncie rzeczy nie
istnieją”. Występuje od lat jedynie jako
„to” — dodaje Drozdowski, uspokajając
jednak siebie i innych: „...nie wykorcuje
przed emeryturą i tym sposobem może
się doczekać czasów, kiedy zaczną zno-
wu poszukiwać kontrowersyjnych, ale
już według wskazówek Stendhala, który
bywał w Zaganiu, a ja tam mam teściu-
wa...”. Którą z komnat Pałacu zapropo-
nuje Bohdanowi Drozdowskiemu dyrek-
tor Adam Stawczyk?

ZBIGNIEW RYNDAK
— literat, redaktor „Gazety Lubuskiej”



w karykaturze LESZKA HERMANOWICZA